

ODRY

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin dnia 22 grudnia 1946 r.

Nr. 45-46 (56-57)

Tadeusz Miłulski

Lata wrocławskie Kasprowicza

Radca Polte znalazł się w historii literatury polskiej niespodzianie dla siebie samego. Ani tego pragnął, ani oczekiwał. Bez zasługi. Dnia 1 marca 1884, w gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu rozdawał uczniom świadectwa maturalne. Znał dobrze tego kujawskiego olbrzyma, który zbliżał się po dokument szkolny. Patrząc mu niechętnie w oczy, radca Polte powiedział:

— Wszedłeś pan z pochyloną głową. Pan wiesz dlaczego: nigdyś pan nic nie robił. Ale pan piszesz znośną niemczyznę i temu pan zawdzięczasz swoją maturę.

Tym szorstkim słowem szkoła niemiecka zegnała ucznia „z pochyloną głową”. Któż chronił się za podobnym gestem? Jan Kasprowicz.

Synteza oficjalna, jak często, była jednostronna. Biografia szkolna Kasprowicza naliczyła 10 lat pracy w gimnazjum w Inowrocławiu, a później miesiące w Poznaniu, Opolu, Raciborzu, znowu w Poznaniu, razem lat 14. Wielcy poeci miewali niezadko trudności tego typu. Ale trudności Kasprowicza były szczególne: szkoła niemiecka postanowiła złamać chłopkiego syna.

Stojąc przed radcą Poltem, w tej niezręcznej postawie, Kasprowicz mógł odpowiedzieć słowami późniejszego listu do Adama Wiślickiego: Od młodości chowałem się w stosunkach najsmutniejszych: dostawszysię do gimnazjum, sam nie wiem, w jaki sposób, musiałem chodzić do domu trzy czwarte mili, nieraz w śniegu i szarudze, przez osiem lat dostawałem, idąc do szkoły, na dzieńne pożywienie 10 fenigów. Zimą nie miałem nigdy ciepłego okrycia nawet, bo pierwsze palto otrzymałem, mając lat 17, za cenę 5 talarów; to też nabiwiłem się choroby gardłowej, która mnie trapiła przez lat 14...

Alle dla podobnego wywodu Kasprowicz nie używał swojej „znośnej niemczyzny”. Wziąć szybko tę maturę i nie rzucić w dostojnika kałamarnem, pełnym atramentu, jak to uczynił przed niedawnym czasem w Raciborzu.

Radca Polte wręczał poecie dyplom z powagą niewzruszoną.

Kasprowicz liczył lat 24 i otrząsał się szybko ze znużenia. Rozpoznawał zaledwie własną siłę intelektualną. Chciał uczyć się dalej. Gdy wyjeżdżał z Symborza na uniwersytet w Lipsku, otrzymał od ojca 40 marek na to wiano studenckie. Układ, wówczas zawarty, brzmiał zupełnie jasno: były to pieniądze pożyczone. Nie starczyły na długo, Lipsk był drogi, wymagał nierównie bogatszych zasobów. Wprawdzie atmosfera, panująca w polskiej grupie studenckiej, pociągała Kasprowicza. Poeta radykalizm społeczny wyznawał oddawna, z całą żarliwością młodego wieku. W tym też kręgu ideowym powstaje czerwona publicystyka Kasprowicza, której ton pobrzmiewa wyraźnie w tytule studenckiego referatu: „Kilka słów o polityce papieskiej w stosunku do nas”. Ponadto Kasprowicz uczestniczył w pracy zbiorowej nad korektą Marxa, którego przekład polski ukazuje się w Jenie, pod redakcją Ludwika Krzywickiego. Ale żywe stosunki koleżeńskie oraz związki ideowe należało porzucić dla — Wrocławia. Wrocław był tańszy od Lipska. Tyle też wiedziało się o Wrocławiu na odległość z Kujaw.

Aby zmylić nędzę, Kasprowicz zapisał się na uniwersytet we Wrocławiu już w półroczu letnim 1884, nie popasając w Lipsku dłużej nad kilka miesięcy. Ale bleda studencka okazała się równie twarda, jak niedgdy radca Polte: nie dawała się oszukać, towarzyszy poecie z Lipska do Wrocławia. Dom rodziców na Kujawach stał daleko i walczył z biedą własną. Pomoc materialna Józefa Kościelskiego, przegodnego mecenasa, nadchodziła kapryśnie i wymagała za-

biegów, które Kasprowicz odczuwał jako upokorzenie. Z wakacji w Symborzu można było przywieźć najwyżej worek żywności, ucząc się umiejętnej gospodarki w spiżarni. Kasprowicz zapamiętał powrót ze świąt wielkanocnych i opowiedział go przyjacielowi (Zdzisławowi Dębickiemu):

— Pewnego razu matka dała mi na wyjezdny pojeć słoniny. Przez dobre dwa miesiące była to podstawa mego odżywiania się. Słonina jednak skończyła się, skórkę rzuciłem w piec i został tylko suchy chleb. W końcu i tego chleba zabrakło. Było już bardzo źle, kiedy naraz przypomniałem sobie o owej skórze za piecem. Wydobyłem ją stamtąd, otarłem z kurzu, obmyłem i zacząłem gotować. Po kilkunastu godzinach gotowania zmiękła tak, że mogłem ją krajać i żuć jak gumę.

Życie studenckie wszelkich czasów i narodów niewiele bodaj zostawiło podobnych dokumentów.

Nauka w uniwersytecie pochłaniała jedynie część tej niespożytej energii. Kasprowicz prowadził o głodzie studia filozoficzne, historyczne i literackie, pod kierunkiem profesorów, których nazwiska będzie pa-

w przedmiocie szczególnie bliskim im obu. Stara książka szkolna musiała zachować w młodych oczach pewną wartość wzruszenia, jeśli do końca życia posiadał ją Kasprowicz w bibliotece. W wykazie nazwisk profesorskich profesorskich tego okresu, które Kasprowicz zestawiał dwukrotnie, znajduje się również wykład Nehringa. Gdy niebawem Kasprowicz wyda pierwszy tom poetycki (1883), właśnie z plonów wrocławskich, zapragnie doreczyć go profesorowi literatur słowiańskich z dedykacją autora. Ale mimo to wszystko, określenie: „nauczyciel Kasprowicza” przy imieniu Nehringa dzwoni echem cokolwiek pustym.

Poza normalnym trybem uniwersyteckim pochłania Kasprowicza życie studenckie. Młodzież polska we Wrocławiu organizuje się wówczas w ośmiu towarzystwach akademickich, zależnie od pochodzenia regionalnego, poglądów politycznych czy zainteresowań naukowych. Kasprowicz orientował się doskonale w ich historii organizacyjnej, treści ideowej, składzie personalnym, musiał zatem towarzyszyć niejednemu zebraniu i przysłuchiwać się niejednej wrzawie. Mamy prawo sądzić, że niektóre z nich sam wywoływał. Czy to nie on np. zasłużył raz na naganę, kiedy w dyskusji (o J. Kasprowicza) nie zgodził się na twierdzenie, jakoby wiara katolicka była jedyną miarą historycznych ocenian?

Natychmiast po przyjeździe wstąpił do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, czynnego od r. 1836. Podobnego udziału żąda tradycja środowiska i Kasprowicz podał się jej z pewną formą pokory. W spisie członków posiada numer 853, opatrzony datami członkostwa 1884—1886, przy tym data ostatnia oznacza rozwiązanie Towarzystwa. Była to zatem pokora wytrwała.

Alle Kasprowicz nie czuł się dobrze w tym zespole. Statutowi grupy miał za złe ograniczenie tematów zebrań do literatury i historii Słowian, które wygłaszano „po gimnazjalnemu”, przy obojętnej dyskusji. „Zagadnienia z socjologii etc. uważane bywają — pisze Kasprowicz — za herezję, za bunt przeciwko pięćdziesięcioletniej tradycji...”. Sąd podobnie surowy godzi w postać — Nehringa, długoletniego kuratora. Alle Kasprowicz zbyt ściśle wiąże się z życiem i zbyt mocno pulsuje twórczością, aby pójść w służbę zabytków.

Ulega przecież dyscyplinie grupy. W semestrze zimowym 1885/6 na jedno z zebrań przynosi referat „Nieboska Komedia w stosunku do obecnych prądów współczesnych”. Wybór tematu i jego postawienie świadczy zgodnie, że treść ideowa pisarza jest ciągle ta sama: wiążąc literaturę ze społeczeństwem.

Ponadto w tym samym półroczu Kasprowicz odczytał w Towarzystwie dwa akty swego przekładu Shelley'a „Rodzina Cericich”, ulubionego poety z lat szkolnych, którego będzie otwierał jeszcze długo, z radością i zachwytem.

Perspektywa

Odry

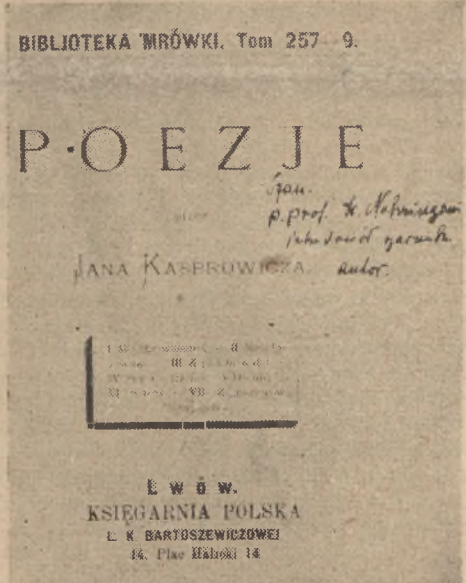
Katolicyzm polski krzepnie i różnicuje się zarazem. Procesem krzepnięcia ogarnięta jest coraz większa ilość świeckich katolików w Polsce, w proces ten zaangażowana jest szczególnie silnie świadomość ideowa katolików. Różnicowanie zaś jest pochodną procesu krzepnięcia; różnicowanie to dotyczy form, w jakich katolicyzm polski zawrzeć musi dzisiaj swą ideową treść. I nie tylko zawrzeć, nie tylko określić — chodzi bowiem o stworzenie punktu wyjścia na szeroki trakt przebudowy politycznej, społecznej, gospodarczej żywota polskiego, trakt przemian, na których kształt i kierunek katolicyzm polski musi mieć wpływ.

W ten sposób wyłoniło się z frontu katolickiego kilka grup, które na gwałt szukają kontaktów katolickiej treści z dniem codziennym, z mijanymi zdarzeniami, kontaktów po części z winy samych katolików zagubionych w pierwszym okresie nowego bytu państwowego. Młodzi katolicy polscy wyciągają dłoń do każdego Polaka, uważają bowiem, że pełna odbudowa Ojczyzny na podstawach ideowych, zgodnych z aktualnym duchem czasu, możliwa jest jedynie na platformie pełnego, szerokiego porozumienia. Świeża i młodzieńcza wiara w człowieka, ów fanatyczny humanizm, który chętnie zdobywa sobie pełne miejsce w szeregu młodych katolików polskich, to gwarancja szczytów.

Uważamy, że niema niemożliwych sojuszków i porozumień w sytuacji tak trudnej, w jakiej znalazł się katolicyzm polski. Nie chcemy bynajmniej zbagatelizować poważnych różnic, jakie zachodzą między polskimi marksistami a katolikami, jesteśmy jednak przekonani, że żywiołowy udział katolików w pozytywnej pracy państwowej wiele konfliktów może załagodzić. Sprawa wzajemnego zaufania dwóch przeciwników politycznych nieraz stanowi o treści ich programów politycznych, nie mówiąc już o formach działalności. Reformy, które katolicyzm popiera, o których wprowadzenie walczy zresztą nie od dziś, o czym świadczą encykliki papieskie, nie mogą się obywać bez współudziału katolików. Tylko w tym wypadku bowiem można je przepoić odpowiednią głęboką treścią moralną, bez której reformy społeczne i inne są krótkotrwałym szczęściem.

Mówimy o „młodym katolicyzmie”, — nie chcemy przez to wprowadzać zamieszania w obraz katolicyzmu polskiego, który jest dość jednolity. Przez „młody katolicyzm” pojmujemy te forpoczty społecznego ruchu katolickiego, które powiodą katolików na pola bitew o moralną i katolicką treść wszystkich istotnych i potrzebnych reform społecznych, gospodarczych i kulturalnych.

Oceniamy pozytywnie wywiad udzielony przez Prezydenta Bieruta jednemu z dziennikarzy polskich. Widzimy w nim zapowiedź nowego układu sił i de o w y c h w Polsce, w którym katolicyzm polski zająć winien mocne i trwałe miejsce.



Exemplarz dedykowany przez poetę prof. Nehringowi.

miętał długo. By uniknąć dodatkowych obciążeń, nie zapisywał się na wykłady w sposób formalny. Korzystał z wiedzy za darmo. Metoda ta nie sprzyjała pracy gruntownej i systematycznej. Z tych lat wrocławskich Kasprowicz ocalił zapomnieniu profesorów filozofii Koerbera, Baeumeckera, Freudenthala, germanistę Weinholdta, historyków Roepella i Caro, nawet fizyka Meyera. Wszystkie te togi profesorskie musiały być mało dostępne, ułożone fałdami, jak na drewnianych postaciach gotyckich. I chyba tylko z prof. Caro łączył Kasprowicza stosunek nieco bliższy, który oglądamy we fragmencie jednej rozmowy. Odbyła się ona na temat stosunków społecznych w uniwersytecie wrocławskim, w atmosferze zaufania.

Chciało by się myśleć, że najczęściej zachodził Kasprowicz na wykłady i ćwiczenia Władysława Nehringa. Profesor otaczał dobrocią swoją gromadę uczniowską i być może jakieś garsteczki uczucia spadały również na głowę tego kujawskiego chłopca. Ale nie mamy na to dowodów w dokumentach. To pewne, że nazwisko Nehringa nie było Kasprowiczowi obce. Koło filomackie „Wincenty Pol”, które pracuje w Inowrocławiu w latach szkolnych Kasprowicza, uczy się literatury polskiej z podręcznika Nehringa „Kurs literatury polskiej” (1866). Jest to zatem pierwszy nauczyciel poety,



Boże Narodzenie i Pokłon Trzech Króli. Malowidła z ołtarzyka składanego z wrocławskiego klasztoru Urszulanek (pierwsza połowa XIV w.).

BIBLIOTEKA WROCLAWSKA
D M 1 102

Ale nie powinny nas zwodzić te świadectwa na rzecz grupy. Kasprowicz czuje się źle między tradycjonalistami, którzy wzajemnie zezują z pewną niechęcią w stronę wzbierającego talentu. Jeśli dać wiarę pośrednim zapewnieniom, najlepiej mu w Czytelnicy Akademickiej, gdzie wieczorami zbiera się młodzież wrocławska na lekturę gazet i czasopism lub na długie gawędy. Spoczywa na Czytelnicy niechętnie oko władz uniwersyteckich. Nie rzadko także w drzwiach związkowego lokalu pojawi się żandarm pruski, zaniepokojony przejawami myśli socjalistycznych, by przeprowadzić rewizję ksiąg i papierów.

Nauka i życie organizacyjne dają ważne tło dla tych lat Kasprowicza. Ale w sposób szczególnie intensywny rozwija się ten żywot gdzie indziej. Kasprowicz z pasją czyta poetów, przed innymi angielskich. Najlepiej mu, gdy pisze. Narasta owych wierszy coraz więcej. W formie jeszcze chropawej, ale o wyraźnych cechach talentu, Kasprowicz ujmuje swoją wiedzę o świecie, w którym sroży się krzywda i niesprawiedliwość społeczna. Czyta je przyjacielom. Patrzy z podziwem na tego Tyrtusa poezji między sobą. Kasprowiczowi przestaje rychło wystarczać krąg miejscowych słuchaczy. Chce go rozszerzyć najbardziej, na czytelników czasopism. W tym celu nawiązuje szereg kontaktów i porozumień redakcyjnych. Czyni to wytrwale, z chłopskim uporem, a jednocześnie z zaciętością młodego talentu, który musi najszybciej dostąpić radości druku. Po ulicach Wrocławia, po Tauenzienstrasse (dzisiaj ulica Kościuski), jak go zapamiętał poeta śląski, ks. Aleksander Skowroński, przechadza się w tych latach Kasprowicz, napęczniały od satysfakcji, autor drukowany. Jego teksty poetyckie, datowane z Wrocławia, pojawiają się naprzemiennie w kolumnach „Kraju“ w Petersburgu, „Przeglądu Tygodniowego“ w Warszawie, „Przeglądu Społecznego“ we Lwowie. Wybucho wokół nich popularność literacka: aprobata i polemika, entuzjazm i rdzina. Nadchodzi do Wrocławia list od Józefa Kościelskiego, pod datą 19. X. 1885. W nim słowa:

„Byłem niedawno w Warszawie i mogę Ci zareczyć, że korzystniejszego debiutu, jak Twój w tamtejszej prasie, trudno wymarzyć.“

Z pocztą poprzednią nadchodzą wycinki prasowe. W „Przeglądzie Tygodniowym“ Wiślickiego (1885, nr. 26) ukazał się wiersz Kasprowicza „Odpowiedź“. Poezja wywołała gniewy ze strony Włodzimierza Zagórskiego (Chochlika), felietonisty konserwatywnego „Słowa“. Na młodego autora wyroili się szyderstwa i wesołe śmiechy z tej pierwszej kolumny polemicznej. Chcecie przeczytać? Oto spór literacki z r. 1885:

„Dążącemu... do celu wieszczowi obojętnym jest, co o nim mówią, a mówią o nim brzydkie rzeczy. Mówią np. — tak prorok sam powiada — że jest jak ten, co rzuca płomienną główkę pod rodzinną strzechę, że blask piorunów, gdy innych zasmuca, w nim szatańską roznieca uciechę; — objaw patologiczny, niejednokrotnie stwierdzony u dotkniętych pyromanią kretynów. Mówią o nim, że „Herostratom jest duchem pokrewny“ — mówią i widzą w nim Kainów godła, klnąc jego duszę podła! podła! podła!

... Słowem, mnóstwo wieszczowi mówią grubiaństw, wieszcz je słyszy wszystkie, ale jako prorok namaszczony, nie zważa na to i hała, drała idzie swoją drogą dalej.“

Kasprowicz, ugodzony do żywego, odpowiada nowym wierszem, którego tytuł już obrał: „Panom i lokajom literackim“ (Przegląd Tygodniowy, 1885, nr. 40). Nie pozostaje mu dłużny „Przegląd Katolicki“. Z iskrami gniewu w oczach, mocno cisnąc pióro, Kasprowicz pisze do Wiślickiego: „Niech mnie żrą, ile im się podoba. Obroń się“.

Wśród tego wszakże, zupełnie po prostu, trzeba żyć. Połec słoniny z Szymborza nie nadchodzi zbyt często. Krajanie wołają o poezję, jak czyni to np. Towarzystwo Sokół z Inowrocławia, na dzień swojej rocznicy, 7 lutego 1886. Poezję pokrywają dasy lub oklaski, ale poezja jeszcze nie karmi. Natomiast żywi Kasprowicza studencka proza. Zawiesiwszy bardon, poeta wysłał do Petersburga, Warszawy i Lwowa liczne korespondencje z życia polskiego na Śląsku i we Wrocławiu, nade wszystko młodzieży akademickiej. Listy te pojawiają się w druku pod pseudonimami autora, by ochronić go przed ciekawością niemieckiej cenzury. Tak przysłoniły oblicze Kasprowicza maski stylizowane: Piotr Huta w „Kraju“, Franciszek Szyba w „Przeglądzie Społecznym“, maski robotnicze, proletariackie —

Omikron w „Przeglądzie Tygodniowym“, wyszukany, filologiczny. Korespondencjom tym towarzyszą listy osobiste, z cennym materiałem biograficznym i literackim, przeznaczone dla przyjacielskich redaktorów. Otrzymują Wiślicki w Warszawie (od r. 1885) i Wysłouch we Lwowie (od r. 1886). Wiążą one kontakty między warsztatami pracy i kładą pomosty z Wrocławia do Polski. Jeszcze dziś, po latach, zdumiewa ta żywotność Kasprowiczowska, ruchliwość talentu, pomysłowość w szukaniu i zdobywaniu ludzi. Z jakich zasobów czerpie podobna energia? Bije z tych lat siła, która zapewnia zwycięstwo.

Ulubionym ćwiczeniem poetyckim tego okresu pozostanie dla Kasprowicza przekład literacki. Czy było to kształcenie pióra, czy szczególnie pociągający rodzaj twórczości, nie zgadnąć. Tak powstał we Wrocławiu przekład całkowity „Rodziny Cencich“ Shellye'a, oddany niebawem do druku Wiślickiemu w wydaniu książkowym (Warszawa 1887). Ponadto w tece Kasprowicza narastają fragmenty innych przekładów, na świadectwo bogatych upodobań literackich i rosnącego smaku. Jeszcze w r. 1885 Kasprowicz przekłada „De rerum natura“ Lukrecjusza i „Childe Harolda“, usiłując zjednać dla tych przekładów uwagę Piotra Chmielowskiego, redaktora „Ateneum“. Ale w odpowiedzi na propozycję druku nadchodzą do Wrocławia cierpliwe i obszerne uwagi Chmielowskiego na temat sztuki i trudności przekładu. Tak obok uniwersytetu, w korespondencji prywatnej, — mimowoli się myśli: o b o k Władysława Nehringa — improwizuje sobie Kasprowicz seminarium literackie, do którego dobiera kierowników.

Z pejzażu miasta przenika do żywiołów tej poezji niewiele. Ale w oddalonej przyszłości Kasprowicz zachowa Wrocław, jako miasto kościołów. Będzie to pamięć szczególnie: we wrocławskich świątyniach, pod łukami gotyckich stropów — nienazwanych z imienia, obojętnych w swych postaciach stylowych — Kasprowicz słuchał Bacha. Zostaną mu w uszach chorały organów protestanckich, idące przez wrocławskie nawy.

Lata walki mają finał targiczny. Jak w dramacie antycznym, nadchodzi on z dziwnego przeznaczenia. Kasprowicz związał się stosunkiem uczuciowym, zawiłym i pełnym niejasności, z kobietą, której twarzy nie będziemy znali nigdy. Tylko jeden ze współczesnych, Józef Ulatowski, pozostawił szkic postaci ogólnikowy i błahy:

„Była to ciemna szatynka o formach pulchnych, średniego wzrostu, i oczach ciemnych, melancholijnych, i sprawiała wrażenie wiochny wiejskiej.“

Nosiła nazwisko banalne Szymańska, imię do dzisiaj nie rozpoznane: Jadwiga? Zofia? Teodozja? Dokumenty umieją być dyskretne, przysłoniły tajemnicę poety. Była córką administratora w Raczynskich, wychowanicą Raczynskich. Posiadała rentę dożywotnią i willę na przedmieściu Wrocławia. (Gdzież to było? — o to pytamy napóżno.) Pojawiała się czasem u brata, właściciela księgarni w Inowrocławiu, przy

ulicy Farnej. Tam właśnie wypatrzył ją wszędobyłski Ulatowski. Ale w notatce, którą pozostawił, odbiła się charakterystyka powierzchowna. Dzieje miłości Kasprowicza próbowano czytać z jego poematu „Miłość“ (1895), gdzie jednak historia ludzka, o akcentach prawdy, pojawia się w postaci zniekształconej. Prawda znana jest uboga. Kasprowicz wyrównał małżeństwem zobowiązania honoru. Tak rozumiał wówczas poczucie obowiązku. Był pod urokiem fizycznym tej kobiety, starszej od siebie, pięknej, szalonej, zaprawdę nie „wiochny wiejskiej“. Ponadto liczył być może na poprawę warunków materialnych, niedostatek już nazbyt dolegał. 4 kwietnia 1886 donosił Wiślickiemu w sposób pogodny o zmianie, jaka nastąpiła w jego koczołarni. Będzie teraz pracował bez myśli o zarobku, zostanie we Wrocławiu przynajmniej rok, złoży egzamin doktorski (u kogo? u Nehringa?). Może z tego właśnie okresu pochodzi grupa koleżeńska, którą reprodujemy. Kasprowicz w gronie przyjaciół, ze znakiem pogodniejszej myśli na czole. Poeta miał swoją słabość: fotografie. Lubił od dzieciństwa chodzić do fotografa, nauczył się ustawiać przed obiektywem.

Okres spokoju, zarówno w sensie materialnym, jak uczuciowym, trwał krótko. Ledwie parę miesięcy. Już 19 sierpnia 1886 gospodyni Niemka zabrała Kasprowiczowi materiał, przygotowany do korespondencji dla „Przeglądu Tygodniowego“, wraz z innymi rzeczami, na wyrównanie komornego. Jak w bajce o złych czarach: Jaś z królewicza znowu wrócił do ubóstwa. To był jego los prawdziwy, przyrodzony. Małżeństwo, zawarte lekkomyślnie, rozerwała gwałtowna nienawiść. Kasprowicz porzucił dom żony i rozpoczął proces rozwodowy. Takie rady słyszał wokół, np. od Seydów w Poznaniu. Oddalił ciężki koszmar, wzięty dobrowolnie, w szaleństwie czy zamroczeniu! I już żdo śmierci nie słyszeć „Traviaty“, od której rozpoczęła się ta klęska.

W kwietniu r. 1887 poeta wyjechał do Rogalina pod Mosiną, „by się podreperować“. Niebawem, 21 kwietnia, znowu jest we Wrocławiu, w innym mieszkaniu, przy Bismarckstrasse (dziś Bolesława Chrobrego) 11. Teraz wydarzenia przybierają na sile, dramat zmierza do nowej komplikacji.

Wokół Kasprowicza zacieśnia się obserwacja polityczna. Materiał w kartotece policyjnej narasta od lat, od czasu wybryków szkolnych. Ale dziś jest to materiał poważniejszy. Policja wrocławska śledzi grupy młodzieży, tropi wśród nich związki tajne, kolportaż nielegalnej prasy z zagranicy. Do Wrocławia dociera dość swobodnie „Przedświt“ ze Szwajcarii. Jeszcze w r. 1886 Kasprowicz jest zamieszany do sprawy Juliana Marcuse'a, a kolegi z gimnazjum Marii Magdaleny, później z uniwersytetu wrocławskiego, pod zarzutem działalności socjalistycznej. Jakoś tym razem rzecz okazała się niegroźna, Kasprowicz nawet rozgłosił ją w „Kraju“ z niepotrzebną brawurą. Ale materiał rósł ustawicznie. Czy nie mnożyła go także pani Szymańska? Relacje i wspomnienia, które przedostały się do druku. „różnie mówią o tym“.

By rozerwać pierścien obserwacji, oblegający go wokół, Kasprowicz wyrwał się, jako delegat młodzieży, na pogrzeb Kraszewskiego do Krakowa. Ogarnęła go wiosna 1887 r., klimat swobody politycznej w Krakowie i Lwowie, nieznaną zupełnie na Śląsku. Ale policyjne listy gończe szły za poetą. We Wrocławiu przygotowywano proces sądowy przeciw grupie młodzieży, oskarżonej o działalność socjalistyczną. Kasprowicz powrócił do Wrocławia, nie ryzykując ucieczki. We Wrocławiu wzięto go do więzienia. Zrazu, w drugiej połowie lipca 1887 r., wypuszczony na wolność, po pierwszym śledztwie. Aresztowany po raz drugi, 16 września, w sprawie przeciw siodlarzowi Juliuszowi Kvaecker i towarzyszom, oskarżony o udzielenie schronienia Leonowi Ciesielskiemu, emisariuszowi rewolucji w Polsce i Rosji, otrzymał wyrok ośmiu miesięcy więzienia. Tak zamykał się obwód klęski osobistej.

Cełę więzienną am Schweidnitzer Stadtgraben (na Podwalu Świdnickim) Kasprowicz wymierzył dokładnie: „Stóp kilkanaście wzdłuż i wszzer stóp kilka“. Prawem niezwykłej żywotności wydobywa się przemocą z upadku. Kilkoma wierszami w języku niemieckim, starym nałogiem szkolnym, zyskał łaskawość dyrektora więzienia. Prawdopodobnie za tę cenę pozwolono mu pisać po polsku. Powstał wówczas cykl sonetów „Z więzienia“, dokument liryczny o cechach pamiętnika. Zapomnienia dla ciężkiej myśli pragnął szukać w przekładach. Żądał nawet u kolegi Suchockiego, by mu dostarczył tekstu „Ifigenii“ Goethego. I z satysfakcją — olbrzym niepokonany — uczył się doprowadzać buty do wspianego połyku.

Wolność odzyskana nie była mu zrazu darem. Rozwód małżeński ciągnął się niezakończony. Wszelkie próby dojścia do zgody, za cenę owej willi wrocławskiej, która miała przypaść Kasprowiczowi, poeta odrzucił na zawsze. Zamieszkał teraz na ulicy Salzstrasse (dzisiaj Wojciecha Cybulskiego) 17, II piętro, w rozległym domu mieszczkańskim, w pobliżu uniwersytetu. Ale studiów nie podjął. Popadł w położenie którego by „psu nie życzył“. I oto własną siłą poczyna się z niego dobywać. Dzieje ponurej miłości zamyka twardą ręką na głucho (niebawem sam los wyrównał ten rachunek: w żalu, rozpacz i nałogach pijanstwa Teodozja Szymańska zmarła 24 maja 1889). Ciemną smugą winy i kary będzie ta sprawa dolegała Kasprowiczowi przez długie lata. Ale doraźnie, z potęgą, która przerasta normalne rozumienie, pisarz powrócił do twórczości. Napisał poemat „Chrystus“ i cykl „Z motywów biblijnych“. W porywie dobrej myśli posłał te skrypty Jeżowi do Genewy. Odpowiedź staro powieściopisarza, pełna dobroci, o stworzyła niebo przed Kasprowiczem. Jął powstawać plan wydania tomu poezji z przedmową Jeża. Kasprowicz kropił wielką część poematu „Salusia Orczykówna“, stancą spenserowską. Na drobnych skrawkach papieru powstaje twórczość ulotna. W listach do Jeża i Wiślickiego tłoczą się projekty pism oryginalnych, przekładów, roboty dziennikarskiej, antologii poetyckich. Tylko straszna bieda dusi go znowu. Czy wydała? W bardzo szybkim czasie, w ciągu lata 1888 zmienia jeszcze raz mieszkanie, w sierpniu siedzi na Grosse Scheitnigerstrasse (dziś Szczytnicka) 29. Rozważa wyjazd do Lwowa, do Szymborza, nie chce, nie umie rozstrzygać. Od starego Jeża nadchodzą słowa dobre, od których zmarnowanemu poecie pada jasne światło na jego dni i noce wrocławskie. Ale chce ruszać z tego straszliwego miasta, gdzie organy grają chorały Bacha i gdzie klęski żywiołowe wałą się na chłopca. Jakoż 8 września 1888 r. Kasprowicz wyjeżdża z Wrocławia do Szymborza. Nie chce „być dłużej ciężarem gospodyni“, która musiała go żywić i opierać. Ale może tu wróci, szybciej, aniżeli rachuje?

Nie wrócił przecież. Odszedł z Wrocławia, drogą przebitą do wielkości. Niedługo później siostry Kasprowicza widziały marę Teodozji Szymańskiej na drogach, na piaseczkach jasnych Szymborza. I żegnały się z trwogą na widok ducha.

Artykuł obecny jest szkicem rozprawki, przygotowanej do druku, wraz z materiałem źródłowym.



Jan Kasprowicz (x) w otoczeniu przyjaciół z wrocławskich lat akademickich.

Wilhelm Szewczyk

Opowieści niemieckie

25 lutego 1824 wrócił Johann Peter Eckermann od Goethego zmęczony i uradowany zarazem. Goethe, który w tym okresie poszerzał jakoś w barkach, zrobił się ociężały, a czasami nawet wręcz mieszczański — tego wieczoru rozpiąwszy misternie ponaklejane broszki na jedwabnej białej chustce wokół szyi, mówił bez przerwy, chodząc po pokoju, mówił tak jakby dyktował swemu kruczowłosemu Johnowi nowe rozdziały „Dichtung und Wahrheit“.

Eckermann, odrzuciwszy energicznym ruchem jasne włosy ponad czoło, gryzł paznokcie i słuchał.

— „To jest moja wielka zdobycz, że urodziłem się w epoce największych wydarzeń światowych. Byłem zatem żyjącym świadkiem wydarzeń od wojny siedmioletniej, następnie odłączenia się Ameryki od Anglii, dalej rewolucji francuskiej, wreszcie czasu napoleońskiego aż do zmięczenia bohaterów i dalszych potem wydarzeń. Przez to doszedłem do całkiem innych rezultatów i poglądów, niż to będzie możliwe tym, którzy teraz się rodzą i z książek jedynie będą mogli poznawać owe wielkie wydarzenia.“

Eckermann słuchał i układał sobie w myśli wszystko tak, by wieczorem łatwo to mógł zapisać. I nagle Goethe przystanął, pochylił się i wyszeptał zduszonym głosem:

— Boję się jednak, że nie uspokoimy się rychło.

*

Kiedy pastor Niemoeller objeżdżał jesienią 1946 miasta angielskie, podchodzili doń wymuskani pastory angielscy, chwytali się połów jego surduta i mówili do siebie:

— Jest li to ten, który lat tyle przesiedział w obozie koncentracyjnym? Taki spokojny i cichy, — zaiste potrzeba było wojen i krwi, gruzów i placu sierocego, by uspokoiła się ludzkość. Umęczeni zrezygnowali z zemsty, mściwość jest grzechem. Pokonani zrezygnowali z odwetu, odwet jest grzechem. Zwycięzcy stali się wspaniałomyślni, wspaniałomyślność jest cnotą.

Niemoeller bronił narodu niemieckiego przed słusznymi wyrokami niektórych sprawiedliwych lordów. Nie, nie mówił im całej prawdy, nie powiedział też prawdy wymuskany pastorem, którzy zastępowali mu drogę jak świętemu, a odstępowali odeń z gorącym Hallelujah, chwalać Niemcy. Niemoeller prawdę zostawił dla Niemców. Widział zaraz po powrocie do kraju młodych ludzi, którzy w SA-mańskich butach uginali się po mieście i krzyczeli:

— Precz z partią taką i taką. Niech żyje partia taka i taka. — I słyszał kobiety, które biegały po gruzach i opadały im na czoła turbany z mizernych skręcone szalików i wołały histerycznie:

— Pfuj! Pfuj! Precz z niewolą dzisiejszą!

Zaiste, nienawiść jest grzechem — pomyślał Niemoeller. Ale tego samego dnia musiał zmienić sąd, kiedy przeczytał w „Frankfurter Rundschau“ duży tytuł: „Nienawiść jest cnotą“.

I dalej widział, w takim Gelsenkirchen, żołnierzy zwycięskich armii, wśród których nie brak było i Polaków, jak wodzili się pod ramię z dziewczynami niemieckimi, które wieczorem wśród gruzów szukały swoich niemieckich chłopców i piszczaly, dzieląc się z nimi aliancką czekoladą. I nie tylko czekoladą.

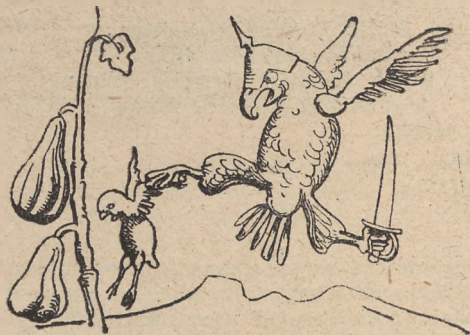
Czy wspaniałomyślność jest cnotą? — pytał się na próżno Niemoeller, jeden ze sprawiedliwych — o głupcy Albionu pastory!

A kiedy tak myślał, buszując w retorycznych pytaniach i wykrzyknikach jak w gąszczu nie do przebycia, postanowił następnego dnia odwołać sentyment do ojczyzny. Widział wszak więcej, niż tu napisałem. Nic też dziwnego, że pierwszymi słowami, które następnego dnia powiedział do urzędników frankfurskich, było namiętne stwierdzenie:

— „Boję się, boję się, Niemcy, że nie uspokoicie się rychło, że zamiast pracować, chwalicie się nienawiścią. A zamiast nienawidzić samych siebie, pracujecie na zgubę innych. I nawet nasza odbudowa zły przybrała kierunek. Bo to jest odbudowa wielkości, przeklętej wielkości.“

*

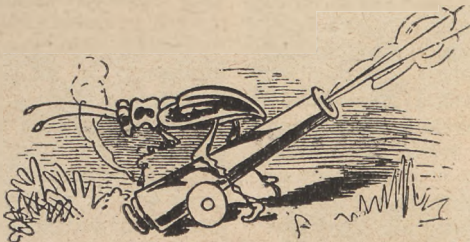
Gładko uczesany Schumacher śmiesznie zaciska w piastkę jedną jedyną dłoń. Tru-



„Coby to była za przyjemność: panować...“ (Z zapisków Eckermanna: Rozmowy z Goethem).



„Pieśni wojenne pisać... na biwaku, gdzie nocą słychać prychnięcie koni wrogich posterunków, tegom się powinien był nauczyć.“ (Z zapisków Eckermanna: Rozmowy z Goethem).



„Rzeczą książką jest, by byle chłystek umiał strzelać z armaty, oplaci się to księciu i państwu.“ (Z zapisków Eckermanna: Rozmowy z Goethem).

Rysunki wybrane z cykli rysunkowych Wilhelma Buscha.

dno mu zarzucić, że nie walczył z hitleryzmem. Trudno o nim powiedzieć, że mu sprzyjał. Nauczył się w obozie obierać kartofle jedną ręką i teraz się tym chlubi, imponuje tym umundurowanym dryblasom z Ameryki. Nie można go też zwalczając oszczerstwami, że był kapo w obozie, że brał pieniądze od Hitlera. Od oszczerstw Schumacher się nie obali, korzenie jego wrosły w czterysta miast niemieckich i w dwadzieścian cztery miasta angielskie. Wkrótce Schumacher popłynie do Ameryki, gdzie powita go stęskniona emigracja niemiecka. Wszak już i Einstein, zdziwaczały trochę staruszek, który układa dziś nowe systemy religijne z panującym dobrem — ONZ i złem — bombą atomową, wszak już i Einstein powiedział o Schumacherze:

— „Ten chłopak ma umysł fizyka.“

A to była pochwała.

Schumacher zaś mówił tak:

— „Niemcy nie mogą się uspokoić, dopóki krzywda panuje w kraju. Niemcy budują w niepokoju, nie wiedząc, czy im tego ktoś nie zabierze. Niemcy rodzą dzieci w niepokoju, bojąc się, czy ich nie pozabija obca bomba. Niemcy chcą mieć gwarancję pokoju, wtedy i one uspokoją się.“

Ho, ho, ten Schumacher ma umysł fizyka. A mówiąc to zaciska jedną jedyną dłoń w małą piastkę i potrząsa nią ku wschodowi, skąd dochodzi stukanie młotów, praca bez nienawiści! A piastka napina się. No, no! Junge, Junge!

*

Z zapisków Eckermanna:

2 maja 1824. Z Goethem przy stole.

„Aby stworzyć epokę — powiedział Goethe — potrzebne są dwie rzeczy, po pierwsze trzeba posiadać dobrą głowę po drugie, trzeba odziedziczyć wielkie wiano. Napoleon odziedziczył rewolucję francuską, Fryderyk Wielki wojnę śląską, Luter ciemnotę księży, ja zaś błędy Newtona.“

*

Schumacher jest niewątpliwie dobrą głową. Cóż odziedziczył Schumacher? Schumacher nie odziedziczył klęski hitlerowskich Niemiec ani nie przejął jako wiano błędów politycznych minionego reżimu. Schumacher odziedziczył zwycięstwo anglosaskie. Nie wierzyć? Przeczytajcie urywek z listopadowych „New York Times“:

„Zwycięstwo aliantów stwarza jedyną realną podstawę pod odbudowę nowych demokratycznych Niemiec. Jeśli w czymkolwiek możemy pomóc Niemcom, to w tym właśnie, że zwyciężyliśmy, że możemy im wiele darować, wiele przebaczyć, że nie my musimy ich o coś prosić, ale że my im możemy dawać, zaskarbiając sobie wdzięczność narodu.“

Ledwo to przeczytałem, — „Der Telegraph“ doniósł o awanturach studenckich w Monachium. Krzyczano tam:

— „Potrzebujemy znacznie więcej, żeby nie wyginąć. Potrzebujemy zresztą nie łaski, ale zwrotu. To, że dzięki nam w sercu Europy wyrastają spokojne, demokratyczne, ludzkość miłujące Niemcy, to zobowiązuje świat do wdzięczności wobec nas.“

Na ulicach Monachium — pamiętasz Heleno domek na Gelbe Ecke, gdzie siedzieliśmy we dwoje, nucąc piosenkę cieszyńską o Opawie — na ulicach Monachium awantury studenckie fotografowali żołnierze amerykańscy, ze szczególną lubością goniąc obiektywami za studentkami, które w marszu podrzucały spódnicę wysoko ponad kolana.

*

Z zapisków Eckermanna:

„Środa 15 października 1825.“

Spotkałem Goethego tego wieczoru w szczególności podniosłym nastroju i z radością słuchałem z ust jego niejednego ważkiego zdania.

Mówił Goethe:

— „Zawsze najwięcej mnie pasjonowały wielkie fakty trzynastego wieku... Azjatyckie hordy rzeczywiście wpały do Niemiec i przebiły się aż na Śląsk; ale książę Legnicy nagnał im niemało strachu, zadając im wielką klęskę. Zatem hordy obróciły się ku Morawom, tu jednak rozproszone zostały przez Grafa Sternberga. Ci dwaj mężni żyli odtąd we mnie zawsze jako wielcy obrońcy niemieckiego narodu...“

*

Wieczór u Goethego kończył się mocną kawą lub herbatą. W pobliżu poszczekiwały dwa znajome psy, którym Goethe w chwilach spokoju badał przez skórę kości. Wieczory w dzisiejszych Niemczech kończą się ledwo tajoną radością z spędzonego dnia. Każdy dzień przywraca Niemcom oddech, równy i spokojny. Alianci pracują na spokój Niemiec, Niemcy z równym i spokojnym oddechem pracują na niepokój świata. Nowa wojna? Gdzie tam, Niemcy w tej chwili nie byłiby zdolni do jej poprowadzenia. Ale — jak zawsze niepokoił czysty i spokojny nurt historii, tak i dziś rzucają kamyki, by zamulić dno, oczyszczone zdawało się na długo.

Azjatyckie hordy, które były już dla Goethego po trosze mitologią, dla dzisiejszych wychowawców Niemiec stają się żywymi elementami historii. Azjatycką hordą są w pierwszym rzędzie Polacy. „Gdzież jest dzielny książę legnicki, który powstrzyma hordy polskie?“ — woła pompacyjnie jakaś świewo kreowana na wieszczca poetka z łamów „Die Neue Zeitung“: „Przeszły już dni, i noce, i zda się cała epoka,

I wołam: gdzież jest legnicki książę, dzielny nasz pan, Co hordy polskie powstrzyma, i gdzież jest Bóg na obłokach, By gromem raził złodziei, stojących u Niemiec bram?“

No, pewnie, „sie lebten daher bis jetzt immer in mir als grosse Retter der deutschen Nation“, tak rzekł Wolfgang von Goethe, to zostało zapisane, sprawdzone przez setki profesorów, przychylnie skomentowane, poddane rozbiorowi poetyckiemu i gramatycznemu — czemuż w to nie wierzyć. Nie jest to wszakże żadna metafizyka, skoro sprawdzili to wielcy profesorowie. Jakże temu zatem nie wierzyć, — nie tylko Schumacher ale cały naród nie-

miecki ma coś z fizyka, kochany staruszeku Einsteinie.

*

Bierzcie przykład z Napoleona! 7 września 1829 w zapiskach płowowłosego Eckermanna znajduje się zdanie Goethego:

— „Napoleon przez to był szczególnie wielki, że w każdej godzinie był ten sam. Przed bitwą, podczas bitwy, po zwycięstwie, po klęsce, zawsze stał na mocnych nogach, zawsze był jasny i zdecydowany, co należy czynić.“

Niemcy radzi by brali przykład z Napoleona, przeszkadzają im w tym jedynie Francuzi, którzy choć dawno już nie idą drogami Napoleona, dobrze znają jego filozofię i łatwo ją demaskują u wrogów i przeciwników.

*

Wyskoczyłem z łózka, pobiegłem do okna i ujrzałem niezapomniany świt. Ulicami czerwieniły się sztandary, na sztandarach czarne szponiaste krzyże. Po chwili dopiero uświadomiłem sobie, że to są niemieckie sztandary i zacząłem rozglądać się z niepokojem po oknach. Urzędnik kolejowy z trzeciego piętra wywiesił taki sztandar, sąsiedzi repatrianci, nawet samotna panna z przeciwległego okna, która przyjmowała u siebie co wieczór starostę powiatu. Ulica była pusta. Ale po paru minutach zaludniła się, krążył jakiś tłum, nawet dość spokojny jak na taki świt. Do drzwi ktoś zapukał, weszła Niemka, która musiała oddać mi swoje mieszkanie, a za nią Schumacherzy w małych jedyńskich piastkach trzymający Steny i dragi...

Tak, zrozumiałem, że to sen. Sen mara Bóg wiara. Napisałem to ot, dla literackiego zadokumentowania pewnego snu, nie dla straszenia bliźnich lub denuncjowania sąsiadów. Kiedy zrozumiałem już, że to istotnie tylko sen, oczy moje pełzające po rzeczywistej już ulicy, obmacujące ściany pokoju, usiadły na książce, którą od kilku wieczorów czytam: „I. P. Eckermann: Gespräche mit Goethe“. Otwarłem ją na stronie 357:

„Ich hasse — rzekł Goethe — alle Pfscherei wie die Sünde, besonders aber die Pfscherei in Staatsangelegenheiten, woraus für Tausende und Millionen nichts als Unheil hervorgeht.“

*

„Der grösste Pfscher der deutschen Geschichte — powiedział niedawno Schumacher o Hitlerze — wird von den Deutschen verflucht...“

Czy tylko dlatego „przeklęty“, że „Pfscher“, że popsuł robotę stuleci, że trzeba nawracać do punktów wyjścia, których Bogu dzięki jest wiele, że i Goethe nienawidził „fuszerkę“ w robocie państwowej? Czy tylko dlatego? No pewnie, to jest fizyka, przeklina się za to, co jest sprawdzalne, co historia zapisze jako fakty, nie przeklina się przecież za metafizykę. A tymczasem — żeby przekleństwo było skuteczne i światu przyniosło spokój — trzeba go przekląć nie tylko za zdarzenia, ale i za całe jego istnienie, za jego religię, za zamiary, których nie mógł wykonać, a nawet za dobro, które nie miało doń dostępu.

*

Z zapisków Eckermanna:

„Środa, 26 maja 1824.“

Pozegnałem się z Goethem, by odwiedzić krewnych moich w Hannoverze, później zaś nad Renem, co już dawno leżało w moich zamiarach. Goethe był bardzo serdeczny i zamknął mnie w swoich ramionach. „Jeśli pan w Hannoverze u Rehbergów — powiedział mi — ujrzy przyjaciółkę mojej młodości Charlottę Kestner, niech jej pan powie wiele dobrego ode mnie.“

Eckermann wyjechał następnego dnia o świcie. Wierny John czekał przy powozie i przyniósł od Goethego zawiniątko ze smakołykami, które tydzień temu zestawili dla Goethego odwiedzający go właśnie goście angielscy. W powozie jechało młode dziewczę, które przez całą podróż paplało wojownicze wiersze Körnera; na dworze było dość burzliwie, ale takie burze wiosenne nikogo nie łamią, za to gloszą nadzieję większą i radośniejszą. Im bliżej Hannoveru, tym szerszy był trakt, tym burzliwszy wiatr i tym potężniejsze słońce.

W Hannoverze u Rehbergów dom był zburzony. Eckermann jechał do Hannoveru (Dokończenie na str. 5)

Stefan Sulima

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (10)

Gietrzwałd zwycięski

Warmińska kolenda

W dzień Bożego Narodzenia —
Radość wszystkiego stworzenia,
Ptozki w góra podlatują,
Jezuszi przyspsiewują.

Słózik zaczyno dyskantom,
Wróbel mu popsiéro altam,
Szpok tenorem krzyknie ciasam,
A gołómbek gruchnie basam.

Séroka wzięła na jedlina,
Łobderla sobzie lusina,
Choć goło świeci czoło,
Byle Panu szło wesoło.

Każdy kraj ma co najmniej dwie stolice. W jednej zbiegają się sieci rozlicznych interesów i ta tworzy centrum jego systemu nerwowego, druga tłoczy w życie jego mieszkańców wewnętrzną treść i uszlachetniający wpływ moralny. To jego serce.

Dla Warmii centrum nerwowym był zawsze Olsztyn. Tu tętniło życie organizacyjne, umysłowe i gospodarcze, stąd szły nici łączące zapadły warmiński region z resztą świata, rozchodziły się gazety, hasła i programy, tu była kuźnia politycznych i gospodarczych polskich poczynań. Sercem natomiast, od siedemdziesięciu lat pozostawał niezmiennie Gietrzwałd, który nabożnej Warmii przychyłał niebo, a może tylko przybliżał ją ku niemu.

Gietrzwałd leży dwadzieścia kilometrów od Olsztyna, a kilka od kolei. Wciśnięty między płaskie wzgórza w płytką zadrzewioną dolinę, zaledwie w ostatniej chwili przed przybyciem na miejsce ukazuje się przybyszowi, niby przygarść kamyków, rozsypanych w rozchylonej dłoni. Nic w jego wyglądzie nie wskazuje na wysoką godność duchowej stolicy, najmniej zaś pospolicity neogotycki kościół, osadzony na starożytnych fundamentach, a stojący wśród gęstwy drzew. Brzydkie, ceglane kapliczki, zamieszkałe przez banalne figury świętych nie mówią również o znaczeniu miejsca.

Z pobliskich wzgórz tylko sąsiadujące z wsią jezioro, opasane zieloną koronką lasów, przykuwa uwagę, szczególnie w pogodne ranki i wieczory, gdy wschody i zachody słońca przeglądają się w nim w nieporównany sposób. Rankiem tarcza słoneczna zdaje się wstępować w głębinę, otuloną płaszczem mgieł, a zanurzony się, rozchyła ramionami promieni zastłonę i zdaje się pływać pod powierzchnią, pomarszczonej falami wody. Wieczorem tonie, niby wielki złoty pieniądz, upuszczony niebacznie na dno. Trzy razy dnia na kościelnej wieży zrywa się niespokojnie sygnaturka. Jak ptak, bijący beładnie o pręty klatki, trzepoce, szukając po omacku właściwego, wysokiego tonu, a znalazłszy go, rozdzwania się swobodnie i ochoczo.

Przed siedemdziesięciu laty, gdy Gietrzwałd był tylko punkcikiem na sztabowej mapie i niczym więcej, proboszczował tu warmiński Bogedain, ks. Juliusz Weichsel. Zaczynał to być pleban. Lud warmiński w troskliwej pamięci chowa dowody jego świętobliwości i pokazuje skromny nagrobek z niemieckim napisem w pobliżu gietrzwałdzkiego kościoła.

Smutne to były czasy dla tutejszych pobożnych dusz. Właśnie w świeżo upieczonym cesarstwie szalał „Kulturkampf“, nie oszczędzając dopiero co przez Bismarcka włączonej w obręb rdzennej Rzeszy, prowincji pruskiej i godził w dwie szczytowe wartości w hierarchii warmińskich spraw: wiarę i język. Od r. 1873 dzieci warmińskie kaleczyły z musu twardą niemiecką mowę, a sam ks. Weichsel trafił do pruskiego więzienia za to, że zbyt bliski był serc miejscowego ludu, dla którego katolicyzm wraz z polskimi formami religijnego kultu stanowił dobro nietykalne, zamknięte pod pieczęcią świętokradztwa, a język należał do tych talentów, których sam Bóg udziela ludziom na Swoją chwałę do użytkowania i rozrachunku.

Zdawało się, że jakieś szaleństwo opętało niemieckie głowy, a że było ono gwałtowne, nie licząc się z nikim i niczym, przerażało swoim rozmachem i zaciętością.

W takim to czasie, 27 czerwca 1877, ks. Weichsel katechizował dzieci do pierwszej komunii. Zbiegała się dziatwa z całej okolicy, a między nią nie bardzo korzystnie odznaczały się dwie rówieśnice z sąsiednich Woryt: Justyna Szafrzyńska i Barbara Samulowska. Nie łatwe to były uczennice. Mimo niewątpliwych dobrych chęci, nauka proboszcza z trudem tylko torowała sobie drogę do ich dziecinnych głów i poczw. wy ksiądz nieraz zastanawiał się czy ma prawo dopuścić tak słabo przygotowane dziewczynki do stołu Pańskiego.

Był cichy letni wieczór, gdy proboszcz zakończył nauki, a dziewczynki z matką Szafrzyńskiej odprawił do domu.

Szarżało, gdy matka Justyny, ponagając dzieci, skierowała się ku Worytom. Właśnie miały zabudowania probostwa, gdy na kościelnej wieży załopotano nierówno serce dzwonka. Mała Justyna pomna na proboszczowe nauki, odwróciła twarz ku kościołowi i zaczęła szeptać „zdrowaśki“.

Miejscowi ludzie z przejęciem pokazują miejsce, z którego niespodziewanie dostrzegła niezwykle blask na kościelnym cmentarzu i w obawie, że w okolicy kościoła wybuchł pożar, pośpieszyła ku grupie klonów, między którymi znajdowało się źródło dziwnego światła. Tu, na nieistniejącym już dziś klonie, ujrzała po raz pierwszy „Śliczną Panią“.

Ciche środowisko wiejskie zakotłowało od wrażenia, jakie w umysłach religijnych Warmiaków wywołała wieść, że sama Matka Boska zjawiała się w Gietrzwałdzie między udreńczonym ludem, a poruszenie doszło do szczytu, gdy zjawienia na cmentarnym klonie zaczęły się powtarzać w obecności drugiej dziewczynki (Samulowskiej) i kilku dalszych osób w zapowiadanych naprzód terminach. Dowiedziano się od dziewcząt, że „Śliczna Pani“ przedstawia się im jako „Niepokalane Poczęcie“, że rozmawia z nimi i uczy je różańca, co zaś było najbardziej wstrząsające, zarówno rozmowy jak i nauka odbywają się w języku polskim, zakazanym przez pruskie władze.

Ten ostatni szczegół miał szczególną wymowę. Nadzwyczajna nowina o Matce Boskiej, która mówi w Gietrzwałdzie po polsku, odbiła się szerokim echem w całym pruskim zaborze i przeleciała kordon graniczny, docierając także na Mazowsze. Wyglądało tak, że w czas narodowego i religijnego ucisku, wbrew wszechmocnemu systemowi kanclerskiemu, samo niebo wybrało sobie Gietrzwałd, by skrzepić w walce o wiarę i język bezbronny, prosty lud. Tak przynajmniej do dziś dnia tłumaczy sobie Warmia sens gietrzwałdzkich wydarzeń.

W dwadzieścia lat po Lourdes Warmia otrzymała nową stolicę i potężną Protektorkę w zmaganiach z srogością ludzkiego losu i rozwydrzoną niemieczyzną.

Od pierwszej bowiem chwili Gietrzwałd stał się widownią starć z Niemcami. Już po pierwszych objawieniach władze pruskie zainteresowały się nowym „zabobnem ludowym“ i próbowały zorientować się w jego rozmiarach, zasięgu i konsekwencjach, jakie mógł wyrzucić na przyszłość. Można sobie wyobrazić ich konsternację i przerażenie, gdy kult gietrzwałdzki okazał nie tylko religijny, ale także niewątpliwie narodowe podłoże. Kryta wówczas strzechami wioska warmińska, błyska-

jąca spośród zieleni drzew jasnymi łatanami pobielanych ścian, stała się celem wypraw różnorodnych komisji niemieckich, których zadaniem było wysledzić słabe strony kultu i zdyskredytować go w świetle ścisłych racji i dowodów. Wzięto na spytki dziewczynki, przesłuchano świadków, a dla odizolowania dzieci od wpływów otoczenia, zamknięto je na pewien czas w szkole. W czasie widzeń gruboskórny lekarz niemiecki z prostacką ciekawością kłuił igłami zatopione w ekstazie dziewczynki, a protokolanci pomnażali akty sprawy, z których coraz wyraźniej wyglądała konfuzja nadeptych i pewnych siebie komisarzy. Kult gietrzwałdzki nie dał się skompromitować i zwyciężył przez niemieczyznę.

Gdy padła zapowiedź objawień w dniu 12 września, Niemcy zrobili jeszcze jedną próbę. Przewidując, że źródło może łatwo stać się nowym obiektem, masowych odwiezdzin i przedmiotem kultu, postanowili zbadać, czy woda jego nie zawiera naturalnych składników leczniczych. Sprowadzono ekspertów, którzy dokonali zbadania wody. Źródło nie wykazało żadnych szczególnych właściwości mineralnych, gdy tymczasem cała Warmia trzęsła się już od wieści, że w Gietrzwałdzie mają miejsce cudowne uzdrowienia.

Każdy wysiłek niemiecki odwracał się przeciw swym inicjatorom i pogłębiał przekonanie, że Patronka Gietrzwałdu trzyma polską stronę przeciw germańskiej przemocy. Już wkrótce nad źródłem stanęła figura Matki Boskiej błogosławiącej wodę, a po kilku latach pracy miejscowych kowali, całe otoczenie tego miejsca zostało ogrodzone żelaznym ogrodzeniem, którego motyw dekoracyjny stanowił liść klonu. Trzy razy do roku, od siedemdziesięciu lat, Gietrzwałd przeżywał wielkie odpusty: 27 czerwca, 15 sierpnia i 8 września, przy czym największy był zwykle ostatni. Z całych Prus ścigały tu kompanie pątników, wśród których nie brakowało mazurskich protestantów. Wielkie pielgrzymki płynęły z pruskiego i rosyjskiego zaboru, a były wypadki, że zjawiały się tu grupki emigrantów westfalskich a nawet amerykańskich.

Z rozmów z Warmiakami widać, jak silny był wpływ Gietrzwałdu na kształtowanie się świadomości religijnej, a zwłaszcza narodowej w okolicy. Przed trzydziestu jeszcze laty nikt tu nie mówił po niemie-

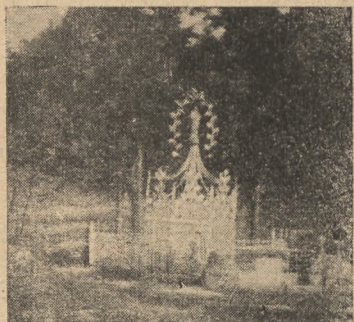
cku, a niemieczyzna była w ogólnej pogardzie u ludu. W drodze wyjątku raz na cztery niedziele odprawiano tu niemieckie nabożeństwa i dopiero hitleryzm uciekając się do presji administracyjnej usunął z gietrzwałdzkiego kościoła polski śpiew i modlitwę. Nie mniej do r. 1940 lud polski ścigał tu masowo tak samo, jak za czasów, gdy w ojczystej mowie mógł czcić swoją „Panią“. W r. 1940, korzystając ze stanu wojennego, żandarmeria niemiecka otoczyła Gietrzwałd ciasnym kordonem i nie wpuściła pątników pod pozorem, że we wsi panuje... szkarlatyna. 20 tysięcy ludzi musiało rozejść się do domów i od tego czasu Niemcy dbali już pilnie, by do odnowienia polskich tradycji Gietrzwałdu nie dopuścić.

Nim się to jednak stało, przeżył Gietrzwałd nie jeden wybuch narodowego uczucia, o czym Warmiaci opowiadają z nieukrywana dumą i wzruszeniem. I tak we wrześniu 1924 roku miało tu miejsce wielkie zbratanie Polaków z jednej i z drugiej strony kordonu, zainicjowane przez pątników z Poznańskiego i wielką pielgrzymkę stowarzyszeń kobiecych Warmii i Powiśla, które w pamięci ludzkiej zostawiło niezatarty ślad. W czasie jubileuszu 50-lecia Gietrzwałdu w r. 1927 polska Warmia wystąpiła z transparentem z konieczności dwujęzycznym. Jednakże hierarchia języków została przy tym zachowana. Wielki polski napis: „Jam jest Niepokalane Poczęcie“, zawieszony na kapliczce na miejscu objawień, przytłaczał dwukrotnie mniejszy niemiecki. Nie mało było oburzenia na taką „polską bezczelność“ w szeregach miejscowych Niemców. Przez cały dzień ruszano wszelkie możliwe sprężyny, ale dopiero pod wieczór odważono się napis zdjąć. Zwyczajnie kościół i cmentarz nie mieściły dziesiątki tysięcy liczących tłumów. Uroczystości odpustowe odbywały się wobec tego koło źródła w amfiteatrze wzgórz. Stawiano zwykle ołtarz polowy i zakładano megafony, aby umożliwić wszystkim pielgrzymom udział w nabożeństwach. Rok rocznie śpiew polski głuszył anemiczne próby niemieckie i im świetniejsze obchody przeżywał Gietrzwałd, tym potężniej brzmiało tu polskie słowo.

Nie zbyt dawna tradycja Gietrzwałdu nie przeszkoziła w wydorzeniu się pewnych specyficznych, ludowych praktyk pobożnych. Jedną z nich jest obwieszanie w czasie trwającej w kościele mszy św. ceglanej kapliczki, stojącej na miejscu pamiętnego klonu, skrawkami płótna i wstążkami. Według wierzeń ludowych, poświęcone w ten sposób opaski, mają właściwości lecznicze. W czasie klęsk elementarnych jako też z racji różnorodnych potrzeb, lud warmiński ma zwyczaj chodzenia z tzw. „łosierami“. Są to pielgrzymki piesze, które ścigają z całego kraju, niosąc ubrane zielenią i wstążkami świece, ofiarowane następnie w kościele gietrzwałdzkim. Mają one wiekowych nieraz przewodników, jak ów Walent w utworze poetki warmińskiej Zofii Zientarówny, który „przodował zawdy w pocierzu“ i „łosiery łód lot prowadził“.

Gietrzwałd powiązany jest tysiącem serdecznych węzłów z każdym niemal domem warmińskim. Na książkach nabożnych z tutejszej księgarni pana a później pani Samulowskiej, wiele dzieci opanowało sztukę czytania po polsku, jak choćby i wspomniana poetka Zientarówna. W sanktuarium gietrzwałdzkim tkwiły korzeniami niezliczone istnienia ludzkie, wiązały się z nim choćby tylko przez rąbek płótna lub butelką źródlanej wody, przyniesionej z odpustu na czarną godzinę, jeśli nie przez wymowę własnych najintymniejszych przeżyć.

Na tegorocznym odpuscie sierpniowym spotkałem warmińskiego księdza, który miał nie jedno do powiedzenia na ten temat. Gwarzyliśmy sobie opodal żelaznego ogrodzenia, tego, które wystawili błogosławiającej Marii miejscowi kowale. W ocembrowaniu, na którym alabastrowy Mojżesz uderzał laską w skałę, bulgotała kryniczna woda, a lud nieustannie podchodził i czerpał ją do naczyn. W ogrodzeniu pachniały kwiaty, z pól leciały zapach skoszonego świeżo siana, a słońce łagodne już o tej porze w Prusach, ogrzewało miło powietrze. Co raz to nowi słuchacze otaczali nas kołem i coraz to ktoś inny wtrącał się z jakimś szczegółem w opowiadanie księdza, dodając epizody (Dokończenie na stronie 8)



Z lewej od góry: Gietrzwałd, cudowne źródło z figurą NM Panny, kościół w Świętej Lipce. — Z prawej: Polski i niemiecki napis na transparentie procesyjnym, o czym wspomina autor reportażu, „Pamiętka z Gietrzwałdu“, dewocyjne wydawnictwo pocztówkowe zasłużonego działacza polskiego Warmii A. Samulowskiego w Gietrzwałdzie.

Arka Bożek

Pilarski

Znam go i wiem, że trzeba go wydobyć z mroku zapomnienia, trzeba go przypomnieć Polakom, którzy przyszedli na Opolski i Dolny Śląsk, trzeba go pokazać polskim malarzom. Ci i owi będą się krzywili, ale spodziewam się, że uczynią to jedynie z jakichś nieistotnych względów.

Nazywa się Paweł Piotr Pilarski, urodził się w Janowie koło Katowic w r. 1891. Całe życie przeżył w granicach byłej Rzeszy, i — można by powiedzieć słowami Osmańczyka — paszport miał niemiecki ale serce polskie. Pomimo, że jako Polak napotykał na duże trudności, dzięki pracy i jej wynikom potrafił sobie zdobyć pozycję cenionego artysty. Reżim hitlerowski odbiera mu tę pozycję i odtąd żyje i utrzymuje się tylko dzięki prywatnym stosunkom w niemieckim świecie artystycznym, dzięki sprzedaży swych w międzyczasie wysoko cenionych prac i dzięki zamówieniom prywatnym. W r. 1940 zmuszony jest do opuszczenia Berlina, przenosi się do małej chałupy w Rucewie w powiecie kłodzkim, gdzie po dziś dzień żyje i pracuje.

Pilarski pisze: „Chciałbym przyczynić się do odbudowy kraju. Wiem, że brak jest lu-

dzi fachowych mojego typu.“ Pragnie się zatem przenieść do większego ośrodka śląskiego, a mianowicie do Zabrze, gdzie mieszka i pracuje jego brat, ten sam, który w okresie przedwojennym był lektorem audycji politycznych w języku niemieckim, nadawanych w Rozgłosni katowickiej Polskiego Radia.

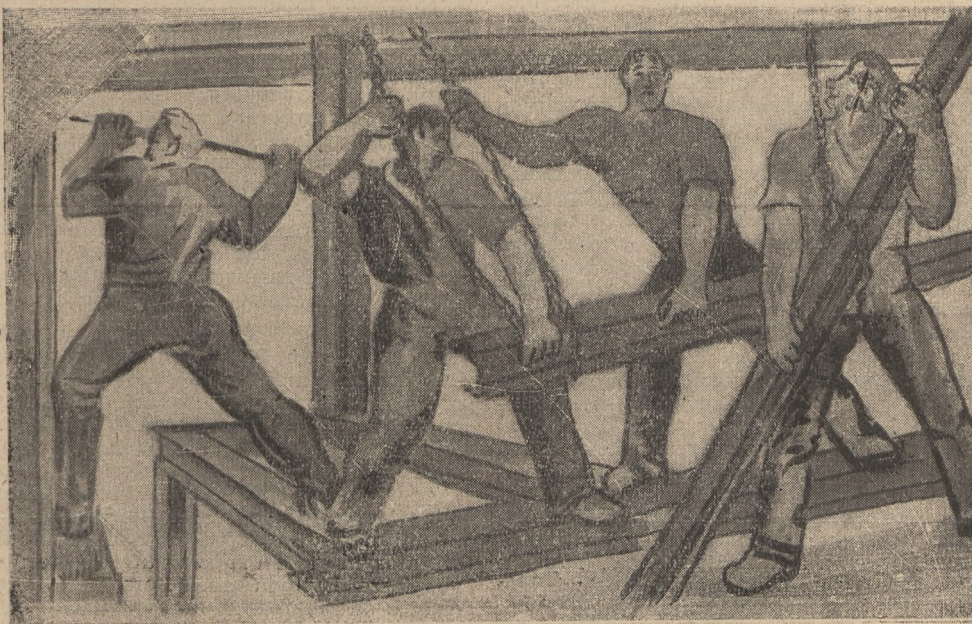
Pilarski z trudem się przeciskał przez życie. Twórczość jego w wielu momentach uchwyciła i utrwaliła ten trud życia, to bogactwo form żywota ubogiego, żywota walki. W twórczości jego malarskiej odbija się także jego ideologia, a odczytać ją można również już z tego małego wyboru jego dzieł, który zamieszczamy poniżej. Był zawsze Polakiem a w okresie plebiscytowym bierze czynny udział w pracach narodowych.

Przypominam Pilarskiego Polsce i wierzę, że Polska o nim nie zapomni. Dzieło jego jest dziełem Polaka, jakiegokolwiek by były podpisy pod jego obrazami, tematy zaś do swoich prac brał ze Śląska, który ukochał i któremu służy po dziś dzień.

Niech mówią jego obrazy.



Na południowych krańcach Śląska Dolnego.



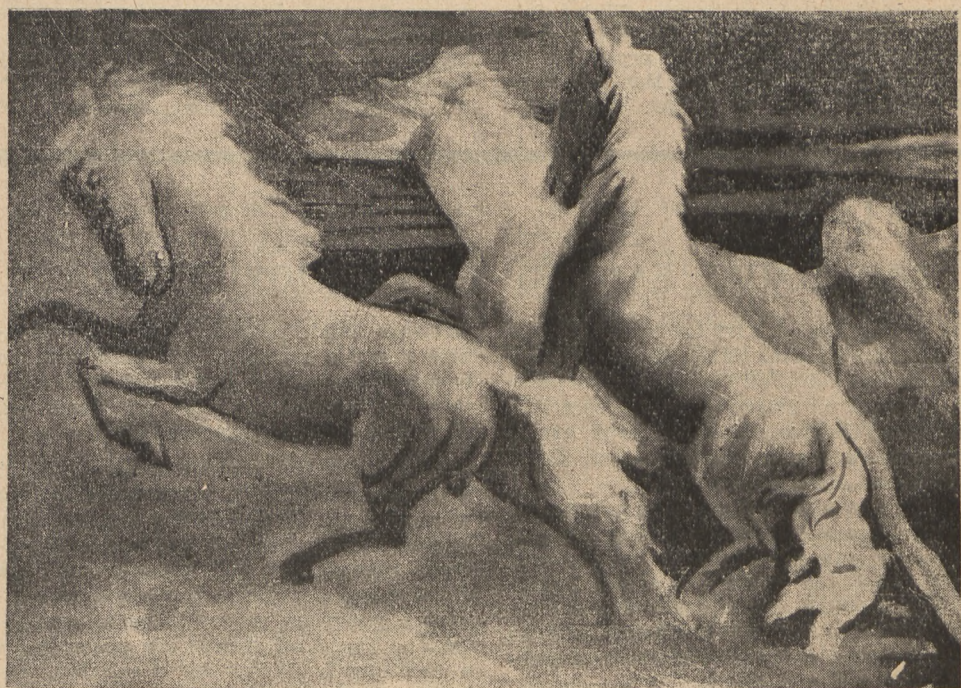
Robotnicy.



Pierwsze burdy antysemitki w Berlinie.



Miasto nad Odrą.



Konie na morskim brzegu.

GEN. ALEKSANDER ZAWADZKI, WOJEWODA ZIEMI GÓRNOŚLĄSKIEJ, który w realizowanym przez siebie szerokim programie repolonizacyjnym dla odzyskanego Śląska wysoką funkcję wyznaczył sprawom kultury, przyłączył się do składek na nagrodę literacką czytelników „Odry“, wpłacając na ten cel 50.000 złotych. W imieniu czytelników dziękujemy Mu za to serdecznie. Cieszymy się, bo gen. Aleksander Zawadzki, wczoraj górnik i żołnierz, dziś wojewoda odzyskanego Śląska, z prawdziwą czujnością obserwuje ruch kulturalny Śląska używając mu pomocy i opieki. W ten sposób staje się wzorem dla innych wojewodów Ziemi Odzyskanych.

więcej niż jeden wiek. Dzieją się takie cuda. Na ulicach pełno było obcych żołnierzy, poznawał w nich tych samych Anglików, którzy tydzień temu odwiedzili Goethego, częstując go smakołykami. Teraz częstowali nimi dzieci i piękne kobiety. Dziewcznę w powozie mówiło coraz więcej wierszy Körnera. I nie tylko Körnera, już i Lönsa śpiewało „Bomben auf Engelland“ i jakieś antyżydowskie piosenki. Eckermann odwrócił się ze wstrętem, nie znał jeszcze nienawiści rasowej. Dziewcznę tymczasem roślo, zmieniło w sposób tajemniczy sukienkę, miało teraz na sobie eleganckie pepitko i spódniczkę koloru popiołu. Mówiło śliczną niemiecką, oglądali się na nią żołnierze angielscy. Wybrała wreszcie wy-

Opowieści niemieckie.

(Dokończenie ze strony 3)

sokiego alianckiego oficera a odchodząc z nim pomiędzy gruzy, mrugnęła do Eckermanna i otworzyła usta, w których Eckermann wyczytał uśmiechnięte słowo: Odwet!

Kiedy tak Eckermann stał na ulicy w swym śmiesznym surducie, popychany przez młodzieńców w SA-mańskich butach i przez jednorękiego jakiegoś człowieczka, zaciskającego jedną piąstkę, pobiegła doń jakaś dziewczyna:

— Wygląda pan jak z epoki Goethego — oglądała go wokoło.

— Tak, ja przyjechałem od Goethego — odparł naiwnie i prosto, tak jak się wówczas mówiło.

— A ja jestem Charlotta Kestner — odparła dziewczyna, śmiejąc się. — Ach, ten stary Goethe, powiedział dużo dobrego, ale wiele zdań wypowiedział niepotrzebnie. **Dobrze, że my, młodzi Niemcy, staliśmy się jego komentatorami.** Dzięki nam będzie żył i prowadził Niemcy do boju, wyprowadzał je z klęsk i zaprowadzał do zwycięstwa. Ach...

Eckermann patrzył. Charlotta była piękną i groźną.

★

(Zdania ujęte w cudzysłowach są dosłownymi cytacjami z autentycznych źródeł).

Jerzy Kowalski

POTOP

Dla literata dzieje są wynikiem lektury. Mówi się: pokolenie wychowane na romantykach. Boy-Zeleński odwiedzał nas we Lwowie we wrześniu 1939. Był gorzki, jak my wszyscy. Spędziłem młodość — powiedział raz — na rozważaniu przyczyn upadku powstania listopadowego. Nie mogę już więcej. — Jednak mówił o takich przyczynach. — Sienkiewicz nas sprzedał. Uwierzyliśmy mu w husarię. Godzinami nadawali to przez radio, kiedy... — Istotnie, — wszyscy odczuwaliśmy to tak wtedy. Ale nie podejmowaliśmy z naszym gościem dyskusji, chociaż z husarią różnie to bywa u Sienkiewicza. Czyta się, jak polspolite ruszenie umiało być niewojenne. Przecie i Pasek nie samą chwałę opowiada. Z wojną bywało u nas, jak z pokojem: nieskładnie. (Czyżbyśmy samemu Sienkiewiczowi uwierzyli, że jesteśmy narodem żołnierzy? Miewamy taki wygląd, wystarczy nas porównać z żołnierzami zwycięskich armii. I tu i tam to się sprawdza i zapisuje w historii, nie tylko naszej.

Boy-Zeleński orientował się w historii przy pomocy literatury, jak wielu zawodowców próbuje instrumentem swojej pracy operować historię. My humaniści myślimy dużo o dekadencji Europy, bo znamy dzieje wielu dekadencji.

Myślałem później o tym przedsięwzięciu u Sienkiewicza. Zapewne, Sienkiewicz jest trochę retorem. Ogniem i mieczem: powieść jest mistrzowska, a jednak ten miecz nie wychodzi z niej tak rąbająco; zresztą i w Iliadzie, co piękniejsze, to cywilne, katalogi głów ścinanych bywają monotonne. Ogień jeszcze mniej bije w oczy. Oglądaliśmy potem wojnę żelaza i płomieni, tu dopiero ta złowroga para wystąpiła ze zwrotu liwiańskiego na scenę upiornego widowiska. Miasta w płomieniach oświetlały przez sześć lat świat zaciemniony. Cóż o tym wiedzieli twórcy powiedzenia: żelazem i ogniem? Potop: zalew najazdu, Szwedzi w Polsce. Miewaliśmy u nas różnych gości, od Turków i Tatarów po armię napoleońską. Potop napoleoński był chyba największy i najmniej (dla nas przynajmniej) groźny. Cała ludność Szwecji nie liczyła za Gustawa Adolfa więcej, jak milion głów. W ciągu obu wojen światowych gościliśmy w naszym nieszczęśliwym kraju milionowe armie, nie tylko armie. W rzędzie takich cyfr potop szwedzki małe, jak Termopile i Salamina zmalały już wobec Litwy narodów. Rzymski żołnierz i pisarz Kato Starszy ze zgrzyotą pisał o literackiej chwale bitew greckich.

Oglądałem w Londynie groteskowy stych. Wnętrze domu, rodzina siedzi przy obiedzie, je zupę czy coś równie codziennego. Inni zajądają poważnie, obrzędowo. Chłopczyk kręci się na krześle. Widać, jak patrzy przez otwarte okno. Łyżka wypadła mu z ręki w zupę, może przysnęło, ojciec podnosi wzrok karcący. Bardzo udana taka scena codzienna, a my idziemy za



Na dworcu sądeckim poznaliśmy referenta jakiejś dyrekcji kolejowej. Drobną ten, blade i czarny pan iadał z widoczną rutyną swoich dwadzieścia kilka waliz, pak i kufrów.
Rys. A. Roboziński

spojrzeniem chłopczyka. I tu ogarnia nas osłupienie, to samo, jakie rysuje się na twarzyczce chłopca: bo oto za oknem płynie arka Noego po wodach. Noe leży na szeszlunku pod płóciennym daszkiem (awning) i pali lulkę. Zyrafa razem z mamutem wyzierają przez okienko pływającego na galarze domostwa. Nad wodami widać opodal szczyt góry oblepiony ciałami topielców czy jeszcze żywych. Można by zapytać, gdzie w takim razie znajduje się dom rodziny angielskiej: w innej arce? Lecz o to nikt nie pyta, jest i tak sens w tym sztychu: potop był niegdyś takim samym zjawiskiem dnia, jak nasze wojny. Ktoś gdzieś po raz pierwszy został nim spłoszony przy codziennym zajęciu. Od tysięcy lat miliardy ludzi jedzą obiad, aż raz coś przerwało go. Przypominam sobie nasze obiady lwowskie we wrześniu 1939 roku. Siadało się do nich. Cóż nieodmiennie jeszcze w czasie zupy zaczynało nas dochodzić złowrogię granie samolotów.

Szytych londyński nie wydawał mi się tak bardzo groteskowy, jak wyglądał. Nie przeczułem tylko, że sam coś podobnego zobaczę, i to nie przez okno. O tym właśnie chce powiedzieć.

Zimą 1944-45 przeżywaliśmy w chałupie za Sączami. Paliliśmy cetyną w piecu lepionym, patrzyliśmy na kaczki nurkujące pośród lodu na strudze. Co rana podwoły wiejskie przejeżdżały pod oknami po drzewo do lasu. Za szybami przesuwali się

białe kapoty zimowe esesów. W nocy przychodzili ludzie z lasu: nasi i Rosjanie. Dwa mocarstwa przechadzały się wąską ścieżką między chałupą a czarną ścianą lasu. Raz widziałem kałużę krwi na śniegu. Wyszedłem w październiku z Warszawy, kałuże krwi nie przejmowały mnie. Esesy przytoczyły armatę i biły w skraj lasu. W najbliższych chałupach wypadły szybki. To nie była wojna. Nagle wyjechały esesy. Widziałem, jak jednego z nich koleczy wsadzali pijanego w auto: to auto nie uszło czatom leśnym. Nad kotłnią ukazywało się po kilka samolotów, skrzyły ognikami dział pokładowych. Zginęło kilkoro ludzi w ciżbie rabującej spalony przez Niemców taktak. Potem chyba przez jakie dwa tygodnie nie było między Rytrem a Rostoką żadnej władzy ani rządu. Nic się nie zmieniło, gospodarze pozostali sobie z magazynów niemieckich blaszane kołanka do pieców, wyrwane szuflady ze stołów biurowych, jeden z nich niósł tablicę z napisem Przejście wzbronione; niósł ją z wielkim wstydem, bo byli to ludzie godni, więc przemysłki się z takim dobytkiem. Nic nikomu nikt nie ukradł, gmina wydawała nadal przydziały inteligentom warszawskim i lwowskim: z uczciwością i uprzejmością wiejską. A przecież była to wioszczyzna głodna od Adama i Ewy. W chałupie naszego gospodarza Gondka cztery głody (nie licząc nas obojga) siedziały na półtoramorgowym poletku nie rodzącym zboża. Halniaki zwiewały co trochu cienką i post-

na nawierzchnię ziemi spodem całkowicie jałowej.

Prócz łaski gospodarzy żywiła nas jeszcze łaska naszych dawnych przyjaciół z miasta. Toteż zaraz z lutego ruszyliśmy na furce ku Nowemu Sączowi, podnieceni wybuchłą nagle o nas opinią jako o śmiałych turystach.

Z furki pod adres przyjaciela naszych przyjaciół, zacnego pedagoga i partnera tyłu bridżów rozegranych na leśnictwie rostockim. Nieśliśmy w rękach ciężkie a drancowe plecaki z mieniem ocalonym z Warszawy. Darło się to na plecach, a w rękach także się darło. Pedagog, rumiany starszek o dziecinnie błękitnych oczach pokazał nam pamiątkowe obrazy, ale noclegu nie obiecywał. Spać na ziemi fraszka, ale gdy gospodarz nie zachęca? Świat zaczynał już tu nie wyglądać, jak w Rostocze. Nocowaliśmy na podłodze, ale gdzieś indziej. Gdzieś w sklepie powiedziano nam, że w tej kamienicy goście nocni są zwyczajni, ale trzeba się dowiedzieć u dozorczyńni. W jej mieszkaniu zastaliśmy dwu młodych krasnoarmiejców przy flasce wódki. Dozorczyńni była dwa razy starsza od nich, ale jej manieri nie były macierzyńskie. Żołnierze chcieli nas częstować, a gdy odmówiliśmy, zaczęli się gniewać. Lecz kobieta odesłała nas na czas na pierwsze piętro, gdzie mieszkała inna taka dama z czternastoletnim, dobrze wyrosniętym synem. Chłopiec był nadzwyczajnie ułożony i pozyskujący swoim obejściem. Matka zwierzyła się, że niegdyś miała i ona manieri kobiety z towarzystwa, i zaraz opowiadała, jak musi się bronić przed zalotami całkiem młodych żołnierzy. Dziełiliśmy się naszymi zapasami, nic innego przyjąc nie chciała za nocleg. Ktoż dziesiątej wrekirowało się w nocleg dwu oficerów. Przed spaniem wysłuchaliśmy pogłódów pułkownika o naszej polityce.

Nazajutrz od 6-tej rano stałem w kolejce pod bankiem. Kilku cwaniaków wywołało panikę, jakaś kobieta runęła głową na dół po kamiennych schodach, pyknął w powietrze rewolwer milicjanta, wpadliśmy w rozparte drzwi: tego dnia kończyła się wymiana pieniędzy. Za drzwiami było zacisznie, urzędnicy szleścieli banknotami, jak w zwykły dzień bankowy, gdy pod oknami toczyły się dzikie bójki między ludźmi, którym groziła zupełna utrata ostatniego grosza. Byłbym musiał przynieść świadectwo od lekarza, że małżonka moja jest oboźnie chora i nie może osobiście uczestniczyć w szturmie na bank. Pod samym okienkiem sam sobie napisałem coś takiego i wypadłem z tysiączką w mordownię przed bramą. Dościągłem Annę. Wlokła się z dwoma plecakami ku stacji kolejowej. Poślizgnąłem się na drewniakach w błocie, żołnierz sowiecki pobierał mię z moimi plecakami. Pociąg miał odejść lada chwila, był to jeden z pierwszych pociągów. Je-

Ludwik Łakomy

Prawdziwe książki Ziem Odzyskanych

W powodzi książek wydawanych po wojnie jak dotąd nie ma takich, które by każdy osadnik nad Odrą, od Opola, od Zgorzelca, od Głogowa, od Słubie aż po Szczecin i po Bałtyk, w Olsztynie i Elku mógł czytać z pożytkiem teraz, kiedyśmy nad Odrę, Nysę i nad Bałtyk powrócili.

Ani słowa nie słyszymy o zamierzonym wydaniu kroniki Dytmara, biskupa merseburgskiego, stanowiącej jedno z najważniejszych źródeł do dziejów Słowian Polabskich i polskich, a zarazem pomnik wystawiony Bolesławowi Chrobremu, którego Dytmar, jako pogromcę Niemców nienawidził.

Co gorsza, nigdzie nie spotykamy wzmianki o wznowieniu zachwycającej lektury, jaką stanowiła by „Kronika Galla Anonima“, należąca do arcydzieł tego rodzaju, że przyniosła by chlubę każdemu piśmiennictwu. A kiedyż wreszcie doczekamy się wydania „Kroniki Słowiańskiej Helmolda“ proboszcza bozowskiego w diecezji lubeckiej, który choć Niemiec, umiał się zdobyć na obiektywizm i sprawiedliwość, sygnując prawdę w oczy Niemcom i rzeczowo mówiąc o Słowianach.

O „księgę Henrykowską“, stanowiącą pierwszorzędną źródło do poznania dziejów wewnętrznych, przede wszystkim gospodarczych, Polski XIII a nawet XIV stulecia dopominamy się od dawna. Jest to przecież zabytek, nie mający sobie równego w całym polskim piśmiennictwie, już nie tylko ze względu na znajdujące się w nim

pierwsze zdanie polskie, ale przede wszystkim z uwagi na to, że roztacza nam on przed oczyma jasny obraz położenia prostej wieśniaczej ludności w pierwszych wiekach naszej historycznej doby.

„Narodowa Księga boleści niemieckiej“, jaką stanowi kronika Dytmara, napisana w pierwszych latach jedenastego stulecia, mieści między innymi na swych stronach pomnik o bohaterstwie polskich obrońców grodu Niemcy, o których kronikarz z podziwem wspomina w takich słowach: „Nigdy mi słyszeć nie zdarzyło się o obłożonych, którzy by z większą wytrwałością, oraz oględnością na wszystko się bronili. Jeśli co pomyślnego im się zdarzyło, nigdy okrzyków radości nie wydawali, ani też dawali poznać smutku swego w przeciwnościach doznanych.“ Ta pierwsza książka o stającej się Polsce, ów hymn pochwalny na cześć Chrobrego, jej władcy, głoskami nienawiści zapisany w kronice książąt i królów saskich, winna być jak najprędzej, zaraz, natychmiast wydana.

Za St. Helsztyńskim i ja „śmiem twierdzić, że nikt drugi tak nie wpłynął na kształtowanie się psyche polabskiej, polskiej i na miliony uświadomień, jak właśnie Gall Anonim swoim dziełem“. Za Helsztyńskim podkreślam, że „tylko Długosz, Wujek, Skarga, może Mickiewicz, mieli tak potężną władzę w ugniataniu duchowego kształtu naszego przeżywania treści narodowej, co Gall“.

Ow Jugosłowianin był pierwszym, oraz najgenialniejszym piewca Odry i Bałtyku. Ow Sallustiusz państwowej Bolesławów potęgi usłyszał był i zapisał w zaraniu dwunastego stulecia pochwałę morza w słowach:

„Inni niegdyś nam słońca rybą truli zdrowie,
Na cuchnących swych wozach dowożąc je zgrają,
Teraz po nią na miejsce trafiają synowie
I w znak życia skaczące u stóp ryby drgają.
Gdy ojców mniej pochopnych tamowały grody,
Synów morskie spiętrzone nie zastraszą wody,
Za jeleniem lub dzikiem w trop chodzili sfory,

Ci polują na skarby z morza i potwory.“
Co zaś najbardziej cenne, to to, że Gall przekazuje nam relację o ówczesnych naszych granicach wywodząc, że „jest Polska północną częścią Słowiańszczyzny, ma zaś jako sąsiadów od wschodu Ruś, od południa Węgry, od południowego zachodu Morawę i Czechy, od zachodu Danię i Saksonię“. Bezcenne to świadectwo zasięgu terytorialnego aż do Danii!

Rzadko kto scharakteryzował Polskę tak trafnie i tak lapidarnie wyluszczył jej cechy, jak to uczynił Gall, pisząc: „Kraj to wprawdzie bardzo lesisty, ale dość przecież obfituje w złoto, srebro, chleb i mięso, w ryby i miód, a pod tym względem najbardziej zasługuje na wywyższenie ponad inne, że gdy przez tyle wyższej wspomnianych ludów i chrześcijańskich i pogańskich jest otoczony i zwalczany przez wszystkich naraz i wielokrot-

nie przez pojedynczych wrogów, nigdy przecież nie został przez nikogo ujarzmiony w zupełności kraj, gdzie powietrze zdrowe, rola żywna, las miódopłynny, wody rybne, rycerze wojowniczy, wieśniacy pracowici, konie wytrzymałe, woły chętne do orki, krowy mleczne, owce wełniste.“

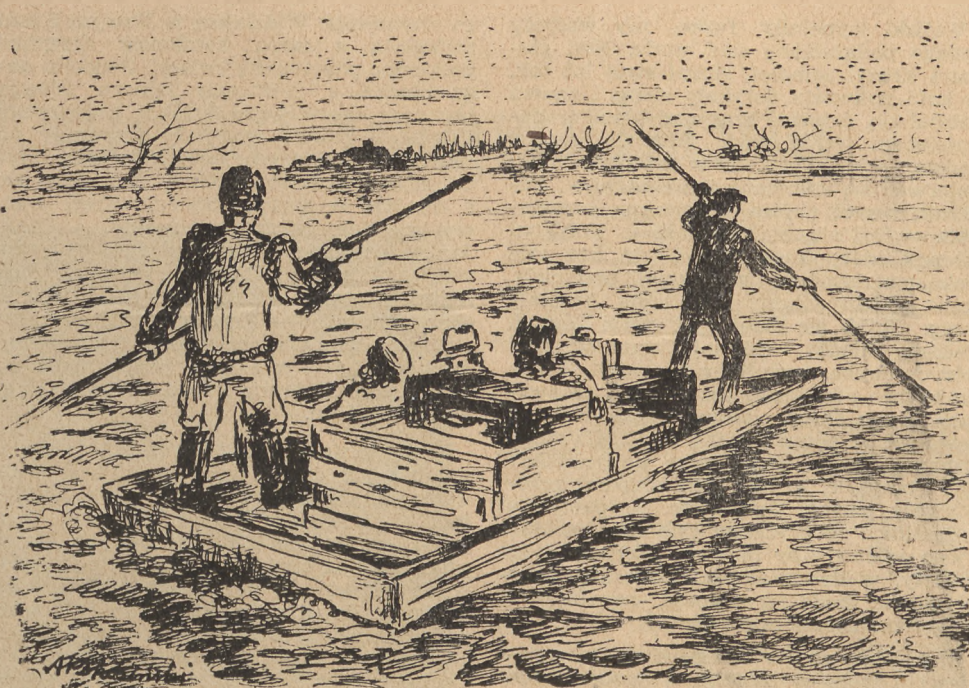
Najsilniejszym jednak przeżywcem Galla, uwiecznionym w jego kronice, to wojna polsko-niemiecka z sierpnia-września 1109 roku, która stała się ostatnim na długie wieki starciem zwycięskim młodej i krzepniejącej Polski piastowskiej z silami całego imperium niemieckiego. Gall pozostawił szczegółowy jej opis, który obecnie aż się prosi, by go użyć za kanwę do wielkiego eposu o bohaterstwie przeszłości Ziem Odzyskanych. Wspaniała obrona Głogowa, bój pod Wrocławiem, podjazdowa walka wojsk polskich z niemieckimi, które ostrzeżały się hasłem, że „Bolesław nie śpi!“ — co za bogate wątki dla pisarzy, pragnących stworzyć wiekopomne dzieło, do czego pomoże im Gall.

„Kronika słowiańska Helmolda“ jest bezcennym pomnikiem, oraz najpoważniejszym świadectwem naszej tubylczości nad Bałtykiem i dalej nad dolnym biegiem Łaby. Głosi ona, że „Polska jest to wielki kraj słowiański“, wzmiankuje, że Polacy „dzielnie się biją w potyczkach“, wywodzi, że „tam, gdzie się Polska kończy, przychodzi się do bardzo wielkiej krainy Słowian, którzy w starożytności Wandalami, dziś zaś Winitami, albo Winulami się zowią. Pierwsi z nich są Pomorzanie, których siedliska aż do Odry się rozciągają. Odra zaś jest to najbogatsza rzeka w kraju słowiańskim. Bierze ona źródło w najgłębszej puszczy, w ziemi Morawian, leżącej na

dnak przesiedzieliśmy na dworcu pół dnia i pół nocy. Nie było tak źle, udało nam się wytargować trochę wrzątku i zjeść z naszych zapasów co najbardziej zawadzało. Starszy o dorodnej twarzy żołnierz sowiecki wdał się w rozmowę ze mną. Był to Polak spod Kijowa, wspominał wcale dobrze Tyszkiewiczza.

Na tym urwała się nasza rozmowa. Kolejarze współczująco pomogli nam wsiąść do wagonu dla koni (six chevaux ou quarante hommes); taką międzynarodówkę wagonów kolejowych oglądałem już na rampach lwowskich. Luty 1945 był ciepły, deszcz lał strugami, coś z tego kapało i w wozie, zresztą było ciepło i wygodnie, mało kto wsiadł w Sączu, istotnie byliśmy śmiały mi turystami, jak na owe strony. Wspominam że wzruszeniem początek tej podróży. Miałem wtedy jeszcze futro wyniesione z takim trudem w upalny dzień z Warszawy. Przydało mi się już na cenciecie parowozowni w Pruszkowie. Nożem kuchennym krajał surową szynkę, którą nam dała na drogę rozczulona naszym pośpiechem przyjaciółka rostocka. W Strużach pociąg stał dobre, ale coż to znaczyło po nudach rostockich?

Na dworcu sądeckim poznaliśmy referenta jakiejś dyrekcji kolejowej. Drobny ten, błyśnięty i czarny pan ładował z widoczną rutyną swoich dwadzieścia kilka waliz, pak i kufrów. Zapytałem go, jak spodziewa się przeładować swój transport na tyłu miejscach przesiadania, jakie dzieliły go od Lubelszczyzny. Było przecież ryzykowne tworzyć wspólny plan podróży z człowiekiem, który liczył chyba tylko na uczynność ludzką. Przedstawił mi się wtedy, jako osobistość (tak powiedział), dopiero później, gdy podróż stawała się coraz cięższa, wypychał mię na delegację, gdyż on, referent kolejowy, nie sięga poza tory kolejowe. Jednakże na razie pan ten objął nade mną komendę jak nad dwudziestym którymś pakunkiem swoim. Więcej od pakunków intrygował mnie drugi jego transport złożony z pięciu siostr jego żony, wszystkich, jak powiedział mi, starych panien. Po małżeństwie najmłodszej siostry damy te uznały że niepodobna znaleźć drugą taką szansę w rodzinie i ufnie przyłączyły się do szczęścia pieczętowanej domowej. Szwagier powiedział mi dobroliwie: one mnie ożeniły, i po tym poznały, że nie umiem się obronić. — Siostry wszystkie w bielutkich budach robionych szydełkami siedziały cichutko, każda z nich administrowała przydzieloną część pakunków. Zapasy jedzenia, przygotowane na jakiś miesiąc podróży, były czysto zawinięte w bibułki, na każdej był napis: śniadanie, obiad..., dzień podróży I., II. imię osoby, która miała zjeść ten prowiant Wszystkie były miłe i łagodne, w widoczny sposób pogodzone z losem. Wódz całego tego transportu zeska kiwał na przystankach z wagonu, przynosił wiadomości, czy jedziemy lub nie, ustalał porządek potrzeb naturalnych swojej drużyny. Nasze zajęcia się nim opłaciło się nam: nie czuliśmy nudy, jadąc przez 10 dni w zamkniętych wagonach bydłych. Były co prawda też inne atrakcje: jazda drewnianymi mostami, które wisiały nad urwiskami wpobok pokręconego żelazniwa



Kry ocierały się o brzegi drewna z chrzęstem pryskającego szkła. Byliśmy na środku rzeki ogromnej, wezbranej tak, że chyba kilometr dzielił oba brzegi.

zerwanych mostów. Widzieliśmy cmentarze rozorane pociskami. Wygląd tych miejsc spoczynku wiecznego pocieszał nas na udręczenia żywych. Skoro spokój wieczny przestał istnieć? Jechaliśmy przez pola, gdzie śnieg leżał na snopach niezwiezionych w lecie z powodu ofensywy.

Gdzieś w polu pociąg stał pół nocy. Wbiegaliśmy szukać studni. Pukaliśmy do domów zabarykadowanych, pełnych szelestów strachu. Błądziliśmy po opuszczonych ogrodach. Czasem dolatywały nas jęki, szlochy. Czasem czuło się, że się mijają ludzie czających się lub czyhających. I ci, którzy się kryli ze strachu i ci, którzy się niczego nie bali równie byli groźni w ciemnościach na odludziu.

Tak dojechaliśmy do Jasła, jakby ono leżało w dawnej odległości Paryża. Stąd trzeba było iść piechotą do najbliższej stacji Moderówki. W Jasle, a raczej w okolicach jego ruin, zobaczyliśmy po raz pierwszy czekające na transport obozy jeńców amerykańskich, brytyjskich, francuzów, świeżych jeńców włochów. Drogami snuły się postacie w pasiakach wracających z obozów koncentracyjnych. Nasz wódz znikł ze swoimi kobietami. My oboje ciągnęliśmy ulicami Jasła. Pierwszej spotkanej kobiecie odstąpiliśmy dwa ostatnie chleby za litr surowego mleka. Za zakretem drogi spotkaliśmy idącą wolno Warszawiankę z synkiem powstańcem. Chłopiec ten wążutki nie miał jednego ramienia, a nieco starszy brat jego zginał w powstaniu. Rozmawialiśmy o okropnościach powstania tak prawie sielsko, jak o wrażeniach z ostatnich wakacji, mijając długi sznur dział. Poczuliśmy się nie wiedząc dlaczego dumni Pani z synkiem pożegnali

się z nami z stołeczną uprzejmością i zatrzymała się w chacie dla wypoczynku. My wnet mieliśmy szczęście przysiąść się na podwodę rosyjską i tak już prawie zwątpiwszy o dalszej na dzisiaj jeździe kolejowej, dotarliśmy do Moderówki. Jeszcze na leśniczówce rostockiej młody leśnik dał mi cztery ćwiartki wódki: jedna z nich została w rękach pocziwego woźnicy. Nie dopominał się on o to, zapytał mnie o jedną rzecz tylko: czy mam dzieci, po czym pograżył się w nieodgadłej zadumie. Zrzadka toczyły się między nami rozmówki, jak między ludźmi, którzy słabo się rozumieją, a nie okazują tego po sobie.

W Moderówce zastaliśmy w izbie restauracyjnej naszego miłego wodza ze swą drużyną. Drugi jego bagaż zalegał kurytarzyk, w którym cisnęły się Ukrainki wracające z Niemiec na nasze Podkarpacie. Spory wynikały przy ich legitymowaniu. Wyszedłem ze ścisku, ale podkładką wiodącą do budynku stacyjnego widać było w wodach roztopów groby żołnierzy sowieckich, i to także przypomniało mi tyle innych grobów tak niemal sponiewieranych, jak domy dla żyjących.

Mimo to wszyscy czuliśmy się świetnie. wypiliśmy pierwszą powojenną herbatę; była okropna, ale ludzie gawędzili beztrosko przy niej; to także działo się po raz pierwszy od sześciu lat. Świat był nowy i wolny. Jakaś jakby sielanka zdumiewająco wiosenna wisiała nad nim. Ludzie wszystkich narodowości zdążyli do swoich ojczyzn nagle wydobytych spod nakazów milczenia i niepojęcia istniejących dalej. Ktoś pokazał przez okno murzyną, zapewne Senegalczyka francuskiego.

wschód od Czech, gdzie też i Łaba ma swój początek. Obie rzeki w niedalekiej znajdują się jedna od drugiej odległości, lecz obie w różnych płyną kierunkach. Łaba bowiem dążąc ku zachodowi w pierwszym swym przebiegu obmywa ziemie Czechów i Serbów, dalej środkowymi częściami oddziela Słowian od Sasów, ku końcowi swej drogi rozgraniczając diecezję hamburską od bremeńskiej, jak zwycięzca wchodzi do morza Brytańskiego. Druga rzeka, to jest Odra, zdążając ku północy, przepływa przez środek ziemi Winulów (Słowian) i oddziela Pomorzan od Weletów. U ujścia tej rzeki, gdzie ona Bałtyku dotyka, było kiedyś najznakomitsze miasto Wineta, najwybitniejszy punkt dla handlu barbarzyńców i Greków, w okolicach jej mieszkających. O sławie tego miasta wiele rzeczy zaledwie do wiary podobnych opowiadają; ja też niektóre godne powtórzenia przytoczę. Było ono rzeczywiście największym z miast, jakie w Europie się znajdują; mieszkali w nim Słowianie, oraz mieszanina innych ludów, tak Greków jak i barbarzyńców. Sasey przybywszy otrzymali także wolność tam przemieszkiwania, byle by tylko, póki tam zostawali, nie wyjawiali się publicznie ze swym chrześcijańskim mianem. Wszyse bowiem mieszkający aż do upadku tego miasta w błędach pogańskich zostawali. Wreszcie pod względem obyczajów i gościnności nie było nad Słowian żadnego narodu uczciwego, oraz dobrodusznieszego.

Kronika Helmolda jest wstrząsającym i strasznym zarazem świadectwem niedoli Słowian nad Bałtykiem. Doprowadziwszy swe dzieło do 1170 roku, Helmold opowiada w nim o cnotach Słowian, z podziwem

podnosząc, że nawet trudna umiejętność pisania znaną im była jeszcze w czasach przedchrześcijańskich. (Dii stant nominibus insculptis.) Od niego dowiadujemy się, że Sasi w imię nawracania wycinali w pień całe okolice słowiańskie, zasłaniając się krzyżem. Helmold relacjonuje, że germańscy sąsiedzi Słowian stali od nich pod względem moralnym o całe niebo niżej, oddając się kradzieży i łupiestwu tak dalece, że kto nie posiadał szczególnej w tym zrzeczności, był uważany za półgłówka i człowieka beczennego (Qui vero praedari nesci haebes et inglorius est).

Kronika Helmolda napisana jest w tonie niezwykle dramatycznym. Nader żywa akcja, przeplatana dialogami, bezpośrednio sprawodawcy, który „magna pars fuit“ w omawianych wypadkach, czynią dzieło niemieckiego mnicha najbezpośredniejszym świadectwem słowiańskości ziem między Łabą a Odrą. Książka aż prosi się o przełożenie jej na język angielski zwłaszcza. Tłumaczenie polskie oczekuje na wydanie... Zostało ono przygotowane przez autora niniejszego. Również dokonane przeze mnie tłumaczenie „Księgi Henrykowskiej“, które oczekuje na wydanie od dwunastu z górą lat, wprowadzi mieszkańca Ziemi Odzyskanych w nieodpartą swojskość tych obszarów, o ileż nam bliższych, niż strony opisywane przez wieszczę z Nowogródka.

Weźmy chociaż rzecz o Głabowicach: „Zapiszmy, iż w tym czasie, gdy pan książę stary Bolesław, założyciel Lubiąskiego kościoła, rozdzielał w różnych miejscach

Po trzech zaledwie godzinach siedzieliśmy w wagonie, tym razem osobowym, co prawda bez okien, ale tego dnia lutowego było zupełnie ciepło, jak w kwietniu. Nie wiedzieliśmy jeszcze, czy jedziemy do Krakowa czy pod Warszawę. Ta niejasność godziła się harmonijnie z tym światem świeżo narodowanym i również niepewnym dalszych swoich kierunków. Ludzie byli uroczyście dobrzy. Słodko i bez wzburzenia, które przecież byłoby takie naturalne, mówili o wygubieniu swoich dzieci, całych rodzin, o doznanych katuszach. Rozpytywali o najbliższych, jakby w każdej chwili można było się natknąć na kogoś, kto był nad Bajkałem lub pod Tobrukiem. Kraków leżał gdzieś za zerwanymi mostami, niebombardowany, pełnienienki takich, jak my, wędrowców, którzy tam nocowali podobno na ulicach (coż to szkodzi?). Urzędnik z Krakowa pokazał mi przez okno wagonu tunel wiodący do kryjówek Hitlera. Tak więc sprawdziła się bajka o smoczej jamie. Pod tym więc pagórem krył się potwór, który wypił krew z całego globu. Jakieś dziecko wychyliło się, żeby zobaczyć ten otwór, ściągnięto je na czas za nogi na podłogę, bo bariera mostu polowego biegła tuż za oknami.

W Rzeszowie wdarła się do wagonu czereda śniadych, wyędźnianych dziewczyn. Chwyciły się za ręce i zamknęły dostęp do miejsc opróżnianych przez nas, krzycząc gardłowo. Ich ruchy namiętne przypomniły mi po tylu latach obraz widziany u Artesowców we Lwowie: taniec uliczny w Jerozolimie. Nagle zrozumiałem: były to żydówki. Wywiezione niedawno z Węgier uniknęły stracenia i wracały do kraju. Niosłem przed sobą dwa plecaki. Dziewczyna wdzierająca się po schodach, którymi usiłowałem wsiąść z wagonu, cienka jak piórko, została wyparta moim bagażem i stoczyła się w błoto; krzycząc głośno w jakiś dziecinnie obojętny sposób, leżała jak corpus delicti, nie próbując się dźwignąć, choć nie doznała żadnych obrażeń. Złożyłem w to samo błoto moje plecaki, podniosłem ją i ocierałem z błota. Z kolei tłum pchnął i mnie, poderwałem moje graty i wpadłem w korytarz obdartych postaci, wiodący do kontroli biletów: była ona wykonywana tak przepisowo, jakbyśmy jechali w odwiedzinę do krewnych lub dla innych rozrywek. Jednak ci ludzie obdarci dawali się przywoływać do porządku, nazywać hołotą i dżiczą; ten nagły porządek napelniał ich może respektem i ufnością do państwa, które tak szybko odnalazło swoje najgorsze maniery. Sam dworzec był przynębiająco brudny. Ujrzałem młodzieńską twarz uśmiechniętą do mnie: moja uczenica ze Lwowa. To także było przedwojenne, o wiele przyjemniej przedwojenne. Jednak byłem już zmęczony i lunatyczny. Trzeba było znaleźć nocleg po czterech dobach jazdy i po pieszej wędrowce z gruzów Jasła. Anna siedziała na plecakach w hali dworca, tymczasem wyszukałem hotelik i czekałem na właścicielkę, która z kluczem od numeru, jedynego jaki był wolny wyszła w odwiedziny. Znowu dostaliśmy trochę ciepłej wody na kolację. W pokoju nieopalanym przez całą zimę był zatechły chłód, z wo-

ziemię pomiędzy swych wieśniaków, nadał ten las pewnemu wieśniakowi swemu własnemu, Głabem zwanemu. Ten to wieśniak Głab najpierw wykarczował miejsce zwane teraz po polsku Wieloląka. Stąd od imienia wspomnianego wieśniaka cały ten okręg lasu zdawna przewano Głabowicami, którą to nazwę lasów do dziś dnia zachował u niektórych Polaków. W późniejszych czasach dziedzice tego wieśniaka, uciskani tam przez dziada niejakiego Mojka, przenieśli się pod górę, gdzie teraz leży sad obok dworu klasztornego. Między dziedzicami wspomnianego Głaba był później pewien wieśniak, przewyższający innych swym znaczeniem, przewany Quetiko, to jest roślina, lub kwiatek. Ten to Kwiatek rozsiadł nieraz bardzo pana księcia Henryka Starszego i jego otoczenie swymi rozwiązanymi psotami i dziwactwami. Stąd na dworze książęcym był wyróżniany spośród wszystkich swych krewniaków. I tak dalej (por. zresztą art. Romana Horoszkiewicza „Głabowice“, „Odra“, nr 40/4), wreszcie: „Niech następcy nasi za tego wieśniaka Kwiatka raczą się modlić“.

Ale jak wyżej nadmieniono, „Księga Henrykowska“ pozwala nam nie tylko śledzić jak powstawały i ginęły rdzenie polskie nazwy miejscowe po lewej stronie Odry, nie tylko ilustruje nam ona charakterystyczne cechy twórcze naszego średnio-wiecznego społeczeństwa, lecz przede wszystkim zawiera w sobie pierwsze zanotowane zdanie polskie, mianowicie w następującym urywku:

„Niechaj będzie wiadomo wszystkim, którzy zajrzą do tej księgi, że w dniach dawnych, kiedy panowie tej śląskiej diecezji, książęta rozdzielałi w różnych miejscach kraju dziedzictwa i posiadłości między ludzi dostojnego i średniego pochodzenia, był niejaki Czech imieniem Bogwał. Ten służył panu księciu Bolesławowi Staremu, który to książę założył klasztor Lubiąski. Ten więc książę nadał w miejscu, które zwie się dziś Brukalice, rzezonemu Bogwałowi ziemi na cztery woły. Ponieważ jednak onego czasu była ziemia ta w okręgu lesista i bardzo opuszczona, przeto Bogwał Czech zagarnął sobie w sąsiedztwie swym lasu ściśle na trzy plugi wielkie. Przez czas pewien tam siedząc pojął za żonę córkę jakiegoś kleryka, wieśniaczkę grubą i bardzo głupią. Lecz wiedzieć należy, że w dniach tych były tu w okolicy wodne młyny bardzo rzadkie, stąd rzezonego Bogwała Czecha żona nader często meła na żarnach. Której mąż jej, ów Bogwał współczując mówił: „sine, ut ego etiam molam“, co po polsku znaczy: „day, ut ia pobrusa a ti pozwai“. Tak to Czech ów meł naprzemian z żoną, obracając niekiedy kamień, podobnie jak żona. Co widząc sąsiedzi, aczkolwiek wtedy tam nieliczni, przezwali go Bogwał Brukał, a stąd całe jego potomstwo zwie się Brukalice.“

Te cztery książki, na prawdę „Książki Ziemi Odzyskanych“, powinny jak najprędzej znaleźć się w rękach czytelników całej Polski.

dociągu cuchnęło. Wszystko to kosztowało wcale dużo, ale zapowiadano z Rzeszowa pociąg na Przeworsk, skąd przez Rozwadów mieliśmy jechać na Lublin i Warszawę. Od dworca szedł jakby szum. Czasem wody z daleka tak szumią. Gdyśmy dochodzili do rudawych świateł lamp napływowych zrozumieliśmy, że to ciżba ludzka stoi przed nami. Ktoś uciekał, ktoś krzyczał. Gdy oczy przyzwyczyły się do mroków, zobaczyliśmy, że oprócz tłoku, w którym wszyscy dokądś się cisnęli i skądś się przedzierałi. Ci milczeli. Nie ruszali się ze swoich przemokłych tłumoków. Nie dzień, nie dwa czekali na jakiś pociąg, który nie szedł, na pomoc co nie nadchodziła. — Piekło — ktoś szepnął ze zgrozą. Przeraził mi pisk dziewczyny unieruchomił falujący tłum, ale zaraz zakotłowało się przed dworcem. Zewsząd rozległy się strzały. Uciekliśmy.

Słyszeliśmy już coś o jakoby zerwanym moście na Sanie, ale skoro z Przeworska szedł pociąg na Lublin? Kontrola biletów niczego nas nie nauczyła, ufaliśmy, że urzędy ruchu czują, a nie urzędują.

Widok pociągu w Rozwadowie otoczonego szlakiem kału napelniał nas wszystkich zgrozą: nie było przejazdu przez San. Deszcz mżył, dworzec był przeładowany zatrzymanymi transportami, które bez troski wypuszczal Przeworsk. Wtedy wódz sprzedał złoty zegarek za 800 zł. i ważył śmiały czyn; ówierać setki waliz i pięć starych panien mogą tak usposobić. Doradził mi więc wspólną przeprawę przez San. Zgodziłem się natychmiast. Nas było tylko dwoje i dwa tylko plecaki, ale w Rozwadowie i to nie mieściło się.

Ruszyliśmy obaj do urzędu miejskiego prosić o podwoje dla całego naszego transportu repatriantów. Wydawało nam się to społeczne, a zatem możliwe. Tem śmielej zignorowaliśmy kolejkę prywatnych nieszczęślików i weszliśmy wprost do gabinetu burmistrza Rozwadowa. Był to raczej młody człowiek, w sympatyczny sposób nowy. Jednak to, co nam powiedział, było przeraźliwe stare. Usiłowałem bowiem poddać mu niezwykle pomysł: aby konie miejskie zwożące w tej chwili błoto z rynku rozwadowskiego, posłał z nami na dwie godziny nad przejazd, a błoto nie ucieknie. Próbowałem wzruszyć go wizją repatriantów nocujących w błocie rozwadowskim, lecz okazało się, że człowiek ten był (na kursach?) również zahartowany na cierpienia. Zresztą w widoczny sposób nie widział za naszymi plecami żadnej partii. Byliśmy dla niego przykrem wspomnieniem przeszłości, z którą właśnie kraj zerwał.

Wyprosił mi polecenie do wójta gminy okolicznej. Tamtejsze konie nie wozily błota, ale, jak się zdaje, wozily prywatnie repatriantów pod San. Gospodarze stawiali się hardo wójtowi. Ten biedak piastował władzę z wyborów. Jednak (o tyle siolo ma lepsze serce od miasta) zdobyliśmy podwoje na jedną jazdę: oczywiście nie tak darmo (ale zegarek był sprzedany) i tylko dla nas. Wróciliśmy obaj na furce mocno zmieszani, jednakże większość repatriantów już opuściła dworzec na furkach zgadzonych prywatnie: nie oburzyła nas ta nielojalność; skoro nie dowierzali nam, nie zawiedli się na nas, a o to przecież szło.

Gietrzwałd zwycięski

(Dokończenie ze strony 4)

z swojego lub cudzego życia, napiętnowanego cechą Gietrzwałdu. W końcu ksiądz nie wytrzymał i nieoczekiwanie potracił nutę osobistych wspomnień.

— Widzi pan te kamienne obeliski we wnętrzu ogrodzeń — zagadnął mnie. Proszę się przyjrzeć płaskorzeźbom aniołów, jakie na nich się znajdują. Podniosłem się i podszedłem do ogrodzenia. Z kamiennych cokołów spojrzęły na mnie cztery dziecinne, puciułowate twarze dzieci z ludu, jakby wprost przeniesione na kamień z pastuszych prototypów. Były tak swojskie i sielskie w blasku sierpniowego słońca, że pytając spojrzęły na księdza.

Popatrzył na mnie z namysłem i wahaniem, jakby zastanawiając się, czy tak intymne tajemnice, jakie chciał wyjawiać, godzi się powierzać obcemu człowiekowi. W końcu widać zdecydował się, bo zaczął opowiadać pozornie obojętnym tonem.

— Ten prawy obelisk, to cząstka mego dzieciństwa. Kiedyś, gdy biegłem tu z trójką kolegów, pasąc bydło na łąkach, nie było go jeszcze. Bawiliśmy się tu, a czasem modlili, jak to w tym czasie zwykli robić dzieci na Warmii. Szczególnie wczesnym rankiem było tu nadzwyczaj miło. Panowała cisza, łąki były puste, choździły po nich tylko pasące się krowy. Matka Boska rankami, jak nam się zdawało, patrzyła na nas jakoś weselej, niż w obecności dorosłych. Lubiliśmy to miejsce. Pew-

Walizki wypełniły furkę, my wszyscy gęsiego podążaliśmy nad wodę. Nad głowami krążył samolot, zniżał swój lot tak, że koła podwozia dotykały ziemi i znowu wzbijał się, zataczał krąg nad błoniem zieleniejącym wśród wód. Zdawało się, że siadzie, — już siadał, by w ostatniej chwili poderwać się spłoszony i niespokojny. Podróżni, nawet ciężko objuczeni, przystawali. — Boi się, boi się siadzie — krzyknął chłopak idący koło nas. Gęsta krawędź rzekę i przewoźnicy wstrzymali przejazd. Przez godziny tłumy rozbitków zalegały brzeg. Robił się ziąb i już mrok szarzał. Staliśmy między kopicami tłumoków, przy których chyba wypadłoby nocować. Mniej-sze bagaże odnoszono już do chat okolicznych. Białe słupy ciosowe mostu wnosily okazałość w ponurą szarą krajobrazu. Wspomniał pokaz tego, czem zaczęliśmy być. Pomyśleć, że nad tymi słupami przełatywały pociągi pośpieszne. Rozparty na poduszkach spoglądałem tyle razy na San i jego zalewy. Czy mogłem przpuścić, że obdarty, w drewniakach i bez kapelusza na głowie będę w ciemną noc lutową brnął tam dołem przez błota?

Błąkaliśmy się po brzegu słuchając opowieści o tych, co zatonęli w przeprawach przez San dzisiaj rano. Jedna ze szwagerek naszego towarzysza znikła nagle za kępami i za chwilę widzieliśmy ją na powrotnej drodze. Towarzysz i jego małżonka puścili się za nią. Widać było, jak biegli koło niej, coś dogadując, potem wszyscy przystanęli; wtem szwagierka zaczęła im się wyrwać, lecz powoli ujęli ją pod ręce i doprowadzili ku nam.

Podeszliśmy ku jednemu z przewoźników, próbując go zgodzić. Tymczasem kilku kolejarzy wskoczyło do łodzi i odbiło; przewoźnik, zapewne w obawie o łódź, zaczął im pomagać. Pod naszymi nogami przesunęła się inna łódź, a raczej skrzynia trójkątna, podobna do pluga śnieżnego lub do pudła, w jakie łowi się małe rybki. Ta tratwa była wyladowana walizami wodza. Radził nam położyć się na jego walizy, nie patrzeć na wodę i płynąć; łódź jest zapłona, my mamy jedynie okupić się obu przewoźnikom. On ma zmówioną drugą łódź dla kobiet.

W Przeworsku cyganka (one ciągnęły także tymi szlakami) przepowiedziała mojej żonie niebezpieczeństwo. Spojrzeliśmy po sobie: mnie inna cyganka przepowiedziała w Atenach 96 lat życia, mogłem więc być odważny. Wybrałem dla Anny miejsce tuż koło mnie. Oboje nie umieliśmy pływać.

Kry ocierały się o brzegi drewna z chrzęstem pryskającego szkła. Byliśmy na środku rzeki ogromnej, wezbranej tak, że chyba kilometr przestrzeni dzielił oba brzegi. Tratwa płynęła cicho, lekko kręcąc się na prądzie. Widziałem przed nami gesty tor lodowy, mieliśmy go przeciąć. Rozmiary wód wyłączały nas z tego świata. Nie mieliśmy ani pieniędzy ani domu, uciekaliśmy tylko od Rozwadowa, zdawało się nam, że cywilizacja zaczyna się od tamtego brzegu, który leżał za lawicą kry. Nowy Sącz, Rzeszów wyglądały na miasta świeżo wynurzone z brudu i nędzy, jakby narodziły się na ziemi niegotowej jeszcze na przyjęcie człowieka po stracie dawne-

go stworzenia. Widziałem w Nowym Sączu zwisającą z muru kamienicy skrzynkę pocztową, poszarpaną kulami. Świeciła naga blacha z resztkami lakieru złotego (Austria), czerwonego (Polska), kremowego (Niemcy). Takie same łaty wystąpiły na ludziach tamtejszych. Łata żółta była chyba najwyraźniejsza. Kiedy strzygłem się u fryzjera w Nowym Sączu, wszedł starszy człowiek, bardzo wzburzony. — Panie Janku, pan znał Szpakowskiego, pan wie, dawny oficer austriacki. Te łajdaki z lasu zastrzeżily go. — Zaczął kłąć. Czego oni chcą właściwie? — Fryzjer, gruczliczny młodzieniec, traskał nożyczkami. Europejski człowiek był i nie mógł jeść chleba na kartki, mówił, że ma z tego wiatry. Sakramenckie zbójce.

Brzeg niziutki, pokryty zepszałą trawą, nie był już daleki, gdy poczuliśmy silne wstrząśnięcie. Pudło wparło się w lawicę lodu, zaczęło się trzeszczenie drewna, stęk pudła, zgrzytanie kry. Tratwa popadła w prąd lawicy i obcisłana obręczą płyt lodowych spływała w dół, a ludzie stojący na brzegu zniknęli mi z oczu. Gdy je znowu podniosłem, ujrzałem żerdź przewoźnika zapartą w ciasto kry. Tratwa okręcała się zwolna, utykając w krze kruszącej się w miążgę. Przed nami była jakby zatoka obrosta szuwarem. Płaty kry obtopniały, tratwa znalazła się w zatoce. Już krawartą masą płynęła o metr za nami. Wyciągnąłem rękę: Anna leżała na swoim miejscu. Zwałpiłem o moich 96 latach życia, lecz to nie napełniło mnie rozpaczą. Brzeg był o kilka metrów, zaczęliśmy przybierać wygląd odmienny od waliz, ta pretensja oznaczała powrót do życia. Na brzegu stanęła gromada dziwnych postaci zgłodzonych, przyodzianych w łachmany. Ledwie złożyliśmy walizy naszego wodza w stos na brzegu, postacie te wdary się na tratwę, odmawiając w łamanym języku niemieckim zapłaty przewoźnikom. Obaj ci ludzie, tak nieczuli w targach na tym brzegu, machnęli rękami i zabrali się z kobietami w drogę powrotną przez rzekę. Znowu poszedłem szukać podwoje. Spotkałem po drodze kilka sznurów takich kobiet. Były podobne do alegorii snujących się po pobojowisku. Zebrały u chłopów nadbrzeżnych, otrzymywały po jajku, inni pozwalali im nocować. Były to żydówki węgierskie wracające z północy ku Karpatom. Tego dnia nie jadłem, w czasie moich wędrówek jedynie RGO i PUR podparło moje chwycące się nogi. Wnet potem uniemożliwił mi otrzymanie zasiłku uniwersyteckiego. Ta sama ludność obu brzegów Sanu nauczyła się robić interesy na nieszczęściu nas wszystkich. Za resztę ceny zegarka młody chłopak załadował walizy wodza na wóz, my wszyscy szliśmy wałem między rozlewiskami wód. Była już noc, pięć kilometrów do najbliższej stacji kolejowej przebywaliśmy gęsiego. Gdy czerwony księżyc wychodził zza chmur, wody, jak okiem sięgnąć, lśniły rudo grozą topieli. Moje drewniaki grzęzły w błocie, z ciężkim ziewaniem odrywały się od dna grzękłej ciapy, w którą grażyły się za każdym stąpnięciem. Nieraz zdawało mi się, że stopa po kostkę pozostanie w błocie. Wicher zerwał mi kapelusz z głowy w chwili, kiedy odjąłem od niego palce, aby podnieść latarkę elektryczną,

która upadła mi w błoto, kiedy je oświetlałem, szukając trzewiczka zgubionego przez dziecko; matka jego zachowywała się histerycznie, krzyczała, że rzuci się w trzawiska, jeżeli nie odnajdziemy trzewiczka. Złodowaciły włokiem się za kompanią. Koło toru żołnierze zabawiali się strzelaniną dla fantazji, uciekaliśmy przed lokomotywą, która ciągle wynurzała się koło nas wtedy, kiedy trzeba było iść samym torem, jakby i ona obdarzona była taką samą fantazją, niezrozumiałą dla naszych ludzi.

Nareszcie siedzieliśmy znowu w wagonie. I tu nie było szyb, a rozeziła się nawałnica lodowa, błyskawice śmigły wśród gradu i krupy śnieżnej. Szwagierki ułożyły z waliz rodzaj bunkru i w nim się schowały. Ich opiekun obdarzył mię ciepłą (gdyby nie za małą) dżokejką, i zasłał. Z zupełnym spokojem ducha zostawiliśmy go opiece sześciu kobiet. Zaczęły one fungować regularnie, jak kolumna sanitarna. My siedzieliśmy pod kocem, grzejąc się własnymi oddechami. Przed chwilą jeszcze żartowałem, a już nieprzewyciężona senność odebrała mi zdolność czucia czegośkolwiek.

Obudziliśmy się w Lublinie. Znowu posadziłem Annę na plecach w tłoku przejeżdżnych, obozujących tu chyba po kilka dni, oskrobałem szczyrykiem błoto z drewniaków, ze spodni i po pas z futra, wyszedłem na miasto. Jeden nocleg kosztował tu dwa razy tyle, niż w Rzeszowie, trzysta złotych a ja miałem tylko dwieście. Wtedy przypomniałem sobie, że przed wojną istniał w Lublinie uniwersytet katolicki. Zapytałem dorożkarza: wiedział, gdzie jest budynek (na przeciwnym końcu miasta, pięć kilometrów jazdy, 200 zł), ale czy są w nim księża lub profesorowie, nie zgadywał. Musiałem się zdecydować. Jeżeli wydam ostatnie pieniądze, a zastanę same mury? — Ale mury są? — Zgniewał się, tutejszy jest, nie ma wiedzieć? — Anna nie pytając, wsiadła. W pół godziny potem leżeliśmy na naszych gratach w celi bez jakiegokolwiek sprzętu, ale już mającej szyby. Dozorca rozpałał w piecu, pogadując jak człowiek przedwojenny i ogłodzony w długim przebywaniu z ludźmi godnymi.

Naszego wodza zostawiliśmy bez troski na dworcu, leżącego jakby w pokoiku ogrodzonym walizami na sali przetłoczonej ludźmi. Koło niego krzątały się jego kobiety z imbrykiem i kanapkami. Trzymał w ręku torebkę ze śniadaniem opatrzonym cyfrą i swoim imieniem i uśmiechał się do nas słodko; wieczorem miał odjechać w Lubelskie.

Lublin był pełny jeńców wojennych i wywiezionych na roboty do Niemiec. Wszyscy ci ludzie pozostawali pod opieką swoich odległych, choćby pobitych państw. Przy pomocy Włocha mogła panna lubelska użyć bilet do kina bez kolejki. My w naszej ojczyźnie zdolaliśmy znaleźć zasłonę tylko pod znakiem krzyża. Jego ramiona sterzały ratowniczo nad potopem.

przez Niemców tak nazwanych, „królów“ polskich. Tu formowała się pewna specyficzna, irracjonalna postawa wobec życia, w której nie najmniejszą rolę grała nadzieja.

Jednym z produktów gietrzwałdzkiego środowiska był słynny działacz i poeta warmiński Andrzej Samulowski, który w swych niewymyślnych wierszach, mających raczej cechy wierszowanej publicystyki niż poezji, na wiele istotnych cech warmińskiej psyche rzucił ciekawe światło.

Kiedyś na Boże Narodzenie napisał okolicznościowy wiersz o zwyczaju „Gwiazdy“ i jej symbolicie, przeniknięty, jak wszystkie jego utwory, echami warmińskiej rzeczywistości.

Wielu się chwiejie, wątpi, kłopoce,
Co dalej działa przemożny wróg.
Nie traćmy wiary, wszak na opoce
Z nas wybudował Swój Kościół Bóg.

Wielu z nas wątpi, czy Polska nasza
Zmartwychpowstanie w pomyślny czas.
Každy z przeciwnych tak nam wygłasza,
Bo się na przyszłość obawia nas.

Błędny pokaże, ciemnych objaśni
„Gwiazda“, o cośmy powinni dbać,
Kiedy z kim mamy unikać waśni,
A kiedy w świętym uporze trwać!

W Gietrzwałdzie znalazła Warmia gwiazdę przewodnią w uporze trwania, niewyczerpane źródło nadziei i symbol przewyciężonej przemocy i niesprawiedliwości. Nawet gdy wraza niemiecka ręka zdusiła tu wszelkie widome ślady polskości.

jego polski wpływ udzielał się nadal warmińskiemu ludowi.

Gdy dziś zagadnie się najmniejszego nawet Warmiaka czy Warmiankę, odpowiada ową czarującą gwarą, w której się „mózi“ a nie „mówi“, „śpsiewa“ a nie „śpiewa“, w której przydrożne krzyże zwą się jednym tchem „bożamęka“, a siola pełne bocianich gniazd nazywają się „zioskami“. W tej dziecinnej, ludowej polszczyźnie, z którą daremnie łamała się brutalna szkoła i władza niemiecka, może najżywiej wyczuwa się zwycięską nutę. Wbrew najoczliwistszym wyliczeniom, wbrew chwyciwości zwątpiałych serc, zwyciężyła niewygasająca nadzieja, w którą serce i gwiazda Warmii, Gietrzwałd, angażował od lat swój wysoki autorytet.

Wszystkim naszym współpracownikom i czytelnikom, przyjaciółom i nieprzyjaciółom, koleżeńskim zespołom redakcyjnym i innych pism literackich i pismom bratniego obozu katolickiego życzymy

MIŁYCH I DOBRYCH
ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA

REDAKCJA
I ZESPÓŁ „ODRY“

Ludwik Hieronim Morstin

„Posągi“, książka nagrodzona

Leży przede mną tom poezji Wilhelma Szewczyka „Posągi“ wydany w Katowicach w roku 1945. — Przybyłem niedawno na Śląsk, powołany tu do pracy, i staram się poznać ten kraj tym ponadzmysłowym poznaniem, które jest życiem duszy, wykołysanej poezją innego krajobrazu, a przeniesionej w całkiem inny. Musi mi pomóc do tego poezja, poezja, w której Śląsk w każdym wierszu zatapia swój pazur coraz głębiej. Poradzono mi kupić sobie tom wierszy Szewczyka, obiecując, że tam będę miał Śląsk prawdziwy, niezmyślony.

I dobrze mi poradono. Bo jak mówi poeta, poprzez namul psychicznych nawyków i zawałiska dziejowych konfliktów dotrzeć do cichych uroczysk gdzie śląskość jest polskością i gdzie wszystko było i jest takie same jak pod Krakowem, Sieradzem i Łomżą, to społeczny obowiązek poezji.

Każdemu, kto Śląska nie zna, a poznać pragnie w tym znaczeniu, że funkcją poznania jest władza duszy, której motorem jest uczucie miłości i podziwu, radzę czytać i odczytywać tę książkę. Wtedy wiele zrozumie. Zrozumie, że pięknem jest, gdy na drewniane czoła kościołów dym opada czerwony, a wzniosłe lipy huta owijają w żółty ornat. Spojrzy innym wzrokiem, gdy mu się krajobraz o świecie odsoni, a wiatr znieśli firany mgieł i dymów, gdy usłyszysz, jak syrena budzi świętych i targa ich za brody, a na turniach kominów w tłum się błękitnie Bóg zasiada wysoki i głosi nowy dzień. Oto Śląsk, Śląsk, którego nie znaliśmy, bo nie umialiśmy na niego spojrzeć oczami duszy. Nie wiedzieliśmy, że on jak święta roślina chodzi po niebie schylonym i ptaki płoszy, że jest wielki jak pamięć, Rzeczypospolitej wichrowaty szaniec i czujna warta.

O tym wszystkim dowiesz się z poezji Szewczyka, bo prawdziwie posągowa to poezja, ale każdy posąg jest z języków, które mówią stubarwnym dźwiękiem. Pisać o poezji jest bardzo trudną rzeczą. Bo poezja jest irracjonalna w istocie swojej i działanie jej polega na nie dającej się określić harmonii myśli, słowa, dźwięku i pojęciowej treści. Stapiają się w niej żywioły liryczny, muzyczny, plastyczny i epiczny.

Krytycy, komentatorowie i historycy literatury, oślepieni blaskiem poezji, tracą zwykły wzrok i nie dostrzegają tego, co dojrzeć powinni. A poeci zajęci swoim rzemiosłem nie mają czasu na analizowanie cudzych utworów.

I ja nie umiem wytłumaczyć, dlaczego wiersz Szewczyka „Pochwała ziemi rybnickiej“ uważam za jeden z najlepszych wierszy współczesnej literatury polskiej. Nie wiem dlaczego odczuwam wzruszenie estetyczne, gdy czytam jego wiersz „Tristis



Wilhelm Szewczyk, laureat nagrody literackiej miasta Katowice na rok 1946. Nagrodzona została książka poetycka „Posągi“.

est anima mea“. Nie wiem dlaczego, gdy mi mówi, że wieczór na ciemnej rzęsie widnokregu ścichł, — to czuję, że tylko poeta i to szczerzy poeta mógł tak powiedzieć „patrzac jak gaśnie dzienna przygoda, a ptaki drżą o swe szczęście“. Ale wiem, że się nie mylę.

„Wieczorem zaś kopalnia, jak orkiestra dęta przygrywa marsze do snu w altanie mosiężnej i tęsknota przez żadne słowa nie pojęta wspina się ku obłokom, gdzie trzapoce księżyc.“

Oto jedna zwrotka ze zbioru poezji Szewczyka, a teraz druga:

„Modre lata nad Wisłą przechodzą samotnie ledwo się stóg zażarzy, grób zapadnie jakiś słowa są szkarłatne i drobne jak maki, same z nich dźwięki leca, ledwo je wiatr dotknie.“

Porównania oryginalne, niespodziewane asocjacje, a harmonia słowa i czystość dźwięku, oto cechy tej poezji, której zacytowałem fragmenty, by nie mówić goślownie, by czytelnik sprawdził moje wrażenie, a sąd swój sam skontrolował.

Dnie schną, jak pręty górnośląskich chabin, a sień chwali nas Chrystusową męką — tak poeta transponuje uczucia na przedmioty świata zewnętrznego i odwrotnie świat zewnętrzny ożywia życiem duchowym.

To jest rzemiosło poety.

O języku Szewczyka można powiedzieć, że jest prosty, barwny i że nagina się posłusznie do woli artysty. Jeżeli poeta chce nam wskazać niebo — pnie się w górę, jeżeli pokazuje ziemię, czołga się po niej z mgłami porannymi i dymami fabrycznych kominów. I jest Śląska pełny. Zastrzegam się raz jeszcze: nie piszę recenzji. — Na zapytanie autora, czy np. jego poemat „Noc“ nie jest za rozwlekły, ubogi w treść, nie umiałbym dać odpowiedzi. Wiem tylko, że w tym poemacie są ustępy, które mnie wzruszają, jedne więcej, drugie mniej, że najpiękniejszą jest dla mnie pieśń ostatnia, zaczynająca się od słów:

„Z nad pobojuwisk naszych noc idzie po nocy“, — a kończąca się tą piękną apostrofą:

Świat błogosławić będzie te noce ich kłęski.

Z krwi dziejów i państw pychy, z ciał zgnitych oparów

Wstanie jak z uroczyska nasz Pan Bóg zwycięski

I nasze święte niebo, ziemia i śmierć, naród!

Zwracam się z gorącą prośbą do autora „Posągów“, by siedł dalej po obranej drodze, a dawał nam poezję coraz czystsza, coraz prostsza, a przez to doskonalsza, by posągował jego talent, aż do sofoklesowo-helleńskiej formy wyrażania najprostszymi środkami najbardziej skomplikowanych uczuć i przeżyć. A jeżeli go do tego zachęcą to dlatego, że widzę w jego poezji zadatek na osiągnięcie takiego stopnia doskonałości. A że zna dziedzictwo swych ojców, stanie się jednym z największych poetów Śląska.

Bo raz jeszcze chce powtórzyć, że przebywając tu od kilku miesięcy, tak jak w płucach czuję pył węgla, rozświetlonego w dymie kominów hut i kopalń, tak w sercu czuję rozpyloną słowem autora „Posągów“ poezję ziemi śląskiej.

Myślę, że to jest dowód prężności talentu poetyckiego Wilhelma Szewczyka i wdzięczny mu jestem za to.

A nie wystarczy połączyć tę odzyskaną ziemię pasmami szos i dróg kolejowych z Ojczyzną, trzeba ją wcielić do tego sanktuarium, gdzie na granitach rzeczywistości wznoszą się strzeliste łuki natchnienia i wizji duchowych.

innych ośrodkach Śląska i Zagłębia nie znalazło się dość ludzi, którzy nie traktują naszej ziemi jako terenu eksploatacji, ale czują się na tyle z nią związani, żeby każdą twórczą inicjatywę uznać za własną i którzy są jednocześnie w możności wydatnie poprzeć ją materialnie?

Wierzę, że tylko natłok codziennych trosk i zajęć nie pozwolił dotąd mieszkańcom Śląska i Zagłębia zwrócić należytej uwagi i okazać należytej ofiarności w tym wypadku. Wierzę, że ofiary popłyną żywiej i szybko wzrosną do kwoty conajmniej 150.000 zł. tyle bowiem wynosiłby winna — zdaniem moim — nagroda, aby zapewnić nagrodzoneму pisarzowi czy poecie rok spokojnej — bez trosk materialnych — pracy twórczej.

Przy okazji pozwalam sobie przelać do złożonej już poprzednio ofiary dodatkowo zł. 500.

Dziękując wszystkim ofiarodawcom za cenne składki i miłe listy, donosimy, że dzięki wspaniałej pomocy gen. Al. Zawadzkiego suma złożonych dotąd składek wzrosła do 93.600 złotych.

Dalsze składki prosimy kierować na konto P. K. O. Katowice III-4960 z dopiskiem „Nagroda Literacka Odry“.

U poetów

Jan Baranowicz

Cierpki erotyk

Możesz odtrącić chleb i dom,
możesz ust podać lub nie podać: —
pociekę jak ten wiatr lub woda,
nie przeciwstawiając się dniom.

Związałem prawdy w jeden klucz: —
biała czy modra, zła czy młoda —
I żadna księga ani moda
nie zgaszają, co przejrzały, ócz.

Nie nizam doznań ani cnót,
ni w szczęściu kąpię się ozimym —
Obłokiem ponad wierszy dymem
frunę i to mój mewi trud.

Kołysz się, gniewaj, samo-sław,
serca rozdeptuj jak żdźbel wiecheć.
Niech cię obciąża wielkość. Niech cię
pali gorączka dni i spraw.

Nie pójdę. Ogarnąłem już —
Jak wiatr bezpański i jak woda
Złączę się gdzieś na antypodach
z wieczystym wiatrem, z morzem mórz.

Aleksander Baumgardten

Jesień

Wiatry hałdami, wiatry hałdami
dzwoni zębami deszcz o nasz próg,
trzepocą chmury nad kominami
a nad chmurami odległy Bóg.

Ktoś poprzewracał karty tej książki
nie dognasz ludzi, nie wymkniesz się,
szalona jesień pomiata Śląskiem,
nawy nonsensu krążą we mgle.

Wiele wicheru, wrony i liście
drzewa naoslep — za nimi w ślad,
aż się krajobraz w deszczu rozprysnie
gdzieś w zatracony, wilgotny świat.

Wiatry hałdami, wiatry hałdami
dzwoni zębami deszcz o nasz próg —
jesieni śląska módl się za nami,
by nas odnalazł odległy Bóg.

Aleksander Widera

* * *

Węzły przeżywań,
korzenie wspomnień
w drogich przedziwach
trwają niezłomnie.

W łonie miłości
ogarniającej
nieskończoności
widzę się końcem.

Wprędzony w drogą
barwę tkaniny
przepadam błogo
w snach o jedynej

miłości, która
czas do się tuląc
chodzi po górach
szczęścia i bólu.

Stanisław Ostrowski

Las

Wyżej już tylko błękit —
wyżej już tylko myśl — —
żdźbło trawy weź do ręki —
na usta połóż liść.

Gotyk —
gotyk strzelisty
krążących sokami pni — —
las płynie żaglami sosen —
żywicą zlocistą mży.

Przewaliły się burze nad lasem —
przewaliły się burze nad sercem — —
zieleń
zmęczone oczy
goi czerwcem.

Nim noc się różą dnia wykrwawi —
krokiem chłopcym i tanecznym —
(krokiem sprzed sześciu lat)
pójdziemy jawni i bezpieczni
w wonność szumiącą:
w dziś bez krat.

Nagroda Literacka

Czytelników »Odry«

Dziesiąta lista składek

Gen. Aleksander Zawadzki, Katowice	50.000 zł.
Antoni Rączaszek, Czeladź	500 zł.
Michalina Pazdro, Katowice	600 zł.
Dr Stanisław Kasztelowiec, Katowice	500 zł.
Hurtownia Szkła i Porcelany J. Porębski, Sosnowiec	500 zł.

Hurtownia Szkła i Porcelany J. Porębski, Sosnowiec, wzywa do dalszych wpłat firmę Rykaczewski i S-ka w Sosnowcu, ul. Modrzejowska 19, oraz Drogerię Eugeniusza Rajcy w Sosnowcu, ul. Modrzejowska 19, pisząc: Z uwagi na doniosły cel i wielkie zasługi „Odry“ nad wykazaniem polskości ziem Zachodnich, „gdzie jesteśmy nie od wczoraj“ uważam, że inicjatywa prywatna pójdzie za naszym przykładem.

Poniżej zamieszczamy list Antoniego Rączaszka:

Jako Zagłębianin, stały mieszkaniec naszego województwa z przykrością obserwuję powolny napływ

ofiar na ufundowanie nagrody literackiej czytelników „Odry“.

W Polsce ludowej jednym z najważniejszych zadań jest upowszechnienie kultury. Poszczególne ośrodki regionalne winny żywić zdrowe ambicje wniesienia jaknajszerszego bezpośredniego wkładu w dzieło rozbudowy kultury narodowej. Istotną formą działania jest m. in. fundowanie nagród naukowych, literackich i artystycznych. Formą wdzięczną i demokratyczną jest instytucja nagród czytelników, w fundowaniu tych nagród, bowiem wziąć może udział każdy obywatel.

Czyżby w Katowicach, Bytomiu, Zabrze, Gliwicach, Sosnowcu i tylu

Wojciech Żukrowski

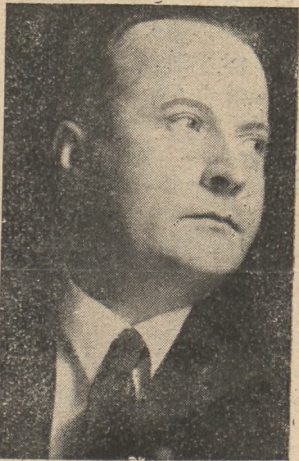
Partyzanci kultury

Wściekłość ogarnia człowieka, gdy chodząc ulicami Wrocławia, widzi okna zabite dyktą, okna w domach zamieszkałych od roku, gdzie gnieźdzą się tchórzliwi ciułacze, handlarze lokujący dochody w „twardych”. Żal im zaryzykować wstawienie nowych szyb, ta „poważna inwestycja” w domu należącym do miasta wydaje im się karygodną lekkomyślnością. Oni są jeszcze ciągle niepewni, pełni wątpliwości i wyczekują znaków na niebie i ziemi. Marzną, krążąc wśród ruin, kląną na pionierskie warunki, nie dostrzegając wyraźnej przemiany, prężności i odbudowy. Nie widzą tego, co dzieje się o krok, pod ich bokiem. Cóż ich obchodzi front kultury, budzący dumę i optymizm, front, który biegnie przez groby książąt Piastowskich, mury katedr i grzbiety ksiąg.

Mało się o tym pisze; nie chodzi o sprawozdania statystyczne, o planowania naukowe, ale tak łopata do głowy, podetkać pod nos niedowiarkom, co się już roboty odwalilo i jak się nową pcha!

Tramwaj — oczywiście widzieli, jak rozrastały się linie, ale kiwają głowami, bo tramwaj musi być, jak jest miasto, musi być i elektrownia, wodociągi i sklepy. Niezbędne ułatwienia, bez których nie ma cywilizowanego życia miejskiego. No, ale co powiecie na kościoły nakrywające się dachami, na uprzątnięte wnętrza, skrzętnie gromadzone biblioteki, teatry, koncerty, odczyty? Czy to was nie zastanawia?

Czy ta deska wsparta kołem, podtrzymująca nadwątlony ostrołuk zabytkowej ka-



Władysław Porejko

mienicy, wzięła tam sama? Skąd tu zebrała się gromada wymachująca smyczkami? Skąd opera, na którą nie mogła sobie pozwolić przed wojną Warszawa? Czy to nie dziwne?

Gdzie się ruszyć, natrafiamy na fanatyków urzeczonych tymi ziemiami, rozkochanych w monumentalnych ruinach, w których odkrywa się muzycznie piękny kształt gotyku. O nich chcę mówić, o tych pierwszych, którzy mi się pod pióro nawinęli, a będę tę listę mnożył, aż odsłoni się przed wami armia, która, wbrew wam, mocuje się z przyszłością, która i was w tę walkę wplącze i powlecze.

Cenię fanatyków, cieszy ich każda odnaleziona rzeźba, każda książka i cegła wrastająca w rozwaloną ścianę. Podnieceni, wprowadzają nas, chwalać się zdobyczami, wstydliwie przemilczają kłopoty, ostrożnie sondują, czy jesteśmy przekonani, ujęci i gotowi im pomóc. Fundusze, pewnie, że są ważne, ale ludzie potrzebniejsi. Pieniądze też potrafią się rozleźć, za pokwitowaniami, a jakże, zaksięgowane, przejrzyście, zgodnie, — skutków nie dojrzyś! Ludzie decydują. Łatwiej trudności wyjaśnią niż umotywowane podania jedna szczerza rozmowa, jeden uścisk ręki, nawet i ten kieliszek śliwownicy zastępujący przysłowiową beczkę soli. Człowiek trafia do człowieka, nie papierek, intonacja głosu, uśmiech, gest wymowny a mimowolny, wyjaśnia wiele i ułatwia. Mówmy więc o ludziach.

Władysław Porejko, niemianowany konserwator wojewódzki, nie będzie nigdy ideałem potulnego urzędnika. Tkwi w nim niewyżyty artysta, pokutują wspomnienia paryskie, tęskni za bohemą warszawską, za kolegami, których nazwiska są chlubą naszej międzywojennej sztuki. Taki nie będzie warował za b'urkiem, bo też w tym burzliwym pierwszym roku nic by tam nie wysiedział.

Porejko znalazł się we Wrocławiu w trzy dni po zdobyciu miasta. Kazano mu zabezpieczać, więc zabezpieczał. Ale wiecie co to był za czas. Wrocław był wtedy jednym wielkim targowiskiem, pełnym międzynarodowego tłumu wracających z lagrów, jeńców i robotników, szumiał językami całej Europy. Oczywiście strzeżono tylko obiektów użyteczności publicznej, kto by dzieł sztuki pilnował. Przypomnijcie sobie dramatyczną rozgrywkę o bibliotekę Uniwersytecką, dwukrotnie ratowaną i ostatecznie spaloną. Kradziono spod ręki, wywożono muzealne meble do mieszkań epizodycznych kacyków. Trzeba podziwiać, że tyle się jeszcze uchowało.

Regencja wrocławska za czasów niemieckich miała 36 Heimatsmuzeów, gdzie było wszystko, od koszuli podejranej autentyczności Fryca Wielkiego, po cenne wyroby płaterskie i obrazy zrabowane we Flandrii. Nie licząc tego, co przysłano z Berlina, z całego Zachodu i rozlokowano po dworach, chroniąc przed bombami alianckimi.

Personel niemiecki w samym Wrocławiu liczył 52 osoby, w tym fachowców tej miary co prof. Bümmler.

W zespole Porejki tylko komisarz do spraw rewindykacyjnych, Styczyński, ukończył historię sztuki, pozostali zresztą sami się do tego przyznają, studiowali akademię handlową, buchalterię itp. w każdym razie, nie wspólnego z dziełem, w którym dziś tak owocnie pracują, nie mieli. I znowu pokazuje się, że nie dyplomik, nie papierek, tylko człowiek decyduje. Dziś, po roku współpracy, są to fanatycy, zdradzają ich pieszczotliwe gesty, z jakimi gładzą ramy obrazu, intarsję kolbuszowskiej komody (sic!). Praktyka pod kierunkiem Porejki wyrobiła w nich czujność, jeśli nie są jeszcze znawcami, to na pewno nie dadzą się nabrać na tandetę niemiecką, którą są zavalone „salony sztuki i antykwiariaty” Wrocławia. Prawdziwym sukcesem było wychowanie sobie pracowników, rozbudzenie w nich chęci do poszukiwań, do śledzenia krętych i zartartych szlaków, jakimi wyciekały ukrywane zabytki.

Województwo zostało pokryte siecią zbiornic, magazynów, gdzie miano dostarczać, do czasu oczywiście, nim znajdą się środki transportowe, dzieła sztuki, odnalezione przez powiatowych referentów kultury. Z tymi referentami też było różnie, bo gdy nawet na gorliwości im nie zbywało, nie potrafili jej celowo użytkować.

Oto przykładzik. Nadesłano meldunek, że we dworze, który przejeżdżano, zabezpieczono tron Kazimierza Wielkiego, oraz dwie wanny cynowe, przyjazd konieczny natychmiast. I cóż się okazuje? Tron był zwyczajnym fotelem, na którym ucinął sobie drzemki, pałac faję, jakiś pruski fűrst, a te dwie cynowe wanny, to połowy srebrnego kutego sarkofagu, zabytku wielkiej wartości.

I oczywiście do dziś dnia nie ma aut, by zgromadzone po magazynach obiekty muzealne przewieźć do Wrocławia. Więc cóż, praca ogranicza się do sortowania i katalogowania tej monstrualnej rupieciarni.

P. Styczyński opatrzone gładem żelaznym, podporządkowującym mu wojewódzkie posterunki M. O., tropi do dziś dnia po wsiach. Wiele transportów wywieźli SS-mani, tuż przed obłężeniem i ukryli w schronach i bunkrach. Na ślady natrafia się często przypadkiem.

Oglądałem XVI-wieczną biblię, tęczo iluminowaną, znaną z strychu u chłopca, u którego kupowano w czasie drogi parę jabłek. Szewc wykleił Porejce buty pergaminem z nadań książęcych i pokazał mu piwnicę, „gdzie się tych pęcherzy dużo poniewiera”.

Chłopcy na przedmieściu odlewali zeszczej zimy świeczki, topiąc na ogniu oberwane, stare, woskowe pieczęcie.

Co chwila trafiamy na coś, co należało by wlec, odstawić, zabezpieczyć, zamknąć. Człowiek musiałby mieć oczy dookoła głowy, i co najmniej setkę rąk. Z tych połowa musiała by się wyciągać po pieniądze.

Dopiero od czerwca br. zaczęły napływać z Warszawy fundusze. I to niewielkie, jak na ilość rozpoczętych prac, jak na to morze ruin. Do czerwca zabezpieczano

sposobem gospodarczym, ratując pod kierunkiem Porejki zabytki architektoniczne, dosłownie na minutę przed katastrofą. I to jest charakterystyczne, że nim decyzje nadeszły z Warszawy, nim poczynione inwestycje uzyskały oficjalne błogosławieństwo, Wrocław znalazł pieniądze i zorganizował Komisję Ochrony Zabytków. Dzięki głębokiemu zrozumieniu ze strony wojewody mgr. Piaskowskiego, przedstawicieli przemysłu i komisji społecznych, roboty ruszyły w ramach samorządu. Przyjemnie patrzeć, jak łuską dachówek porastają dachy kościołów, a otwory w murach wybite pociskami, wypełniają się świeżą cegłą.

Każdy pomagał jak mógł, każdy czuł się odpowiedzialnym za grożącą katastrofą, więc dawał Wojewoda, dawała Kuria, Urząd Planowania Przestrzennego, Towarzystwo Archeologiczne i stowarzyszenia. Ale nie tylko o pieniądze chodzi, zebrać, zmusić do obrad i spotkań, do harmonijnej współpracy, do uchwał, które zamieniają fundusze w cement, deski, szkło i żelazo — to było sztuką i największą zasługą Porejki. Dziś robota już jest rozkręcona.

Biuro Planowania Przestrzennego warte osobnego omówienia. Przychodzę tam, jest po godzinach urzędowania, sprzątaczkami umyły schody, nogi i wyszły, a ci inżynierowie wykiócają się nad planami, siedzą i dymią. Dyskusja grzmi po piętrach, aż serce rośnie.

Zrozumcie, że to są jedyni mieszkańcy Wrocławia, którzy cieszą się, że miasto tak zostało zrabane, bo teraz można odsłonić całe piękno starych dzielnic. Taki spec jak inż. Bukowski, chciałby wyburzyć nawet resztę ocalałych domów, które swoją nowoczesnością psują harmonię rynku.

Dobrze, że ci inżynierowie pilnują, szczęście, że z pietyzmem odnoszą się do zabytków, bo inicjatywa nieokiełznana ich planem, staje się niebezpieczną. Przykład: stary ratusz w Sycowie nadszarpanej bombą, wieża groziła ruinie, więc zaczęli rajcy miejscy, otrzymawszy nakaz uprzątnięcia gruzu i zabezpieczenia, zabezpieczyli wyjęte ramy, drzwi, kraty, a sam ratusz rozebrali w drobny mak i uprzątnęli. Został po nim figlarny zieleniec na środku rynku.

Gotowość i ochota jest, tylko trzeba pokierować. Nie bardzo jest sens, jak słusznie twierdzi Porejko, zakładać z powrotem wszystkie muzea, nagromadzenie zbyt wielu niemieckich pamiątek świadczyłoby raczej przeciwko nam. Więc albo wywieźć je i rozcieńczyć w głębi Polski, by nie rażyły. Albo tak drogę sercu Niemców pamiątki frydrycjańskie po prostu dobrze im sprzedać, czy wymienić za polonica. Jedno muzeum dla Wrocławia wystarczy, reszta powinna być zastąpiona zbiorami o charakterze dydaktycznym.

Niemożliwe jest ogarnięcie dziś opieką i zapewnienie trwałej konserwacji wszystkim zamkom i placom, których tyle jeszcze zachowało się na Dolnym Śląsku, stąd tendencja do przekazywania ich pod użytkowanie i opiekę organizacjom krajoznawczym, turystycznym i zawodowym. Czasem daje to dobre rezultaty, np. zamek Chojnasty, utrzymany w porządku, udostępniony dla zwiedzających przez p. Koszyckiego. Opłaty od zwiedzających, bufet, noclegi dla turystów, dają pewien niewielki dochód, który pozwala utrzymać się kustoszowi i zapewnić murom minimum opieki. Porejko marzy o rozlokowaniu po tych zamkach byłych wojskowych czy inwalidów, oczywiście gdyby państwo znalazło fundusze na ich utrzymanie. Ten typ przedsiębiorczych, energicznych ludzi, gdyby udało im się przywiązać do strzeżonych obiektów, mógłby całkowicie rozwiązać kwestię opieki.

Porejko projektuje powstanie Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, w skład którego weszliby obok znawców i fachowców, przedstawiciele Uniwersytetu, Związków Zawodowych i delegaci kół fabrycznych.

Chodzi o wprzagnięcie jak najszerszych warstw, od Domu Kultury po przechodnia ulicznego, by unaocznic przeciętnemu zjadaczowi chleba piękno, które go otacza. Już nawet nie idzie o to, by dawał pieniądze, ale by rozumiał, nauczył się cenić, by brał udział emocjonalny w odbudowie. Jest to myśl trafna i osiągalna środkami

najprostszymi, przez wycieczki, odczyty z przezroczami, no i czynny udział w pracach remontowych. Można by podzielać na ambicje zespołów, obudzić sportowego ducha zawodów.

Od chwili, gdy położyłem po mieście z Porejka, sam więcej widzę. Przechodnia trzeba nauczyć patrzeć, a gdy to się uda, droga do pokochania Wrocławia jest prosta.

— Musisz dziś pójść ze mną do Opery — powiedziały smukły Juliusz Lewański, króliczym gestem poruszając czarną szczoteczką wąsów. Zbieram materiał do kroniki kulturalnej Śląska, ukaże się w najbliższym „Zaraniu Śląskim”, za jakiegoś pół roku, to jest przecież kwartalnik.

Poszliśmy na spotkanie z dyrektorem Opery, Stanisławem Drabikiem. Co za temperament, tryskał słowem jak fontanna, przytłaczał, imponował, groził przysłaniem biletów, odpędzał wierzycieli, załatwiał aktorów. Nie mogąc dojść do słowa, przytaczam jego własne:

— W 31-szym roku, jadąc do Belgradu, zatrzymałem się we Wrocławiu. Słuchałem niemieckiej opery z dyrekcyjnej łoży i nigdy bym nie przypuścił, że właśnie tu będę dyrektorem. Do 1939 roku byłem na Bałkanach. Z tego też czasu datują się moje serdeczne związki z operą w Zagrzebiu i Belgradzie. Stałe dostaje od nich listy (demonstruje oryginalny list, proponując nam znaczki, które długi Jules precyzyjnie szczyrzykiem obcina).



Stanisław Drabik

— W 1939 roku, zgadując bliskość wojny, chciałem być w mej ojczyźnie, chciałem dzielić losy narodu, chciałem walczyć. Dlatego objąłem dyrekturę opery lwowskiej. (I to nie uchroniło nas od klęski wrześniowej, szepeć pod nosem).

— 6 lipca ub. roku przyjechałem do Wrocławia razem z ochotniczą grupą żniwiarzy krakowskich. Auto zatrzymało się przed teatrem. Wtedy powiedziałem: „tu będzie opera!” I dzisiaj jest! Wywalczyłem ją. 8 września udało mi się, przy koleżeńskim pomocy, co muszę podkreślić, dyrektora Dąbrowskiego, wystawić „Halke”.

— Sukces mieliśmy ogromny (i deficyt też). Autentyczne kostiumy góralskie pożyczylem w Zakopanem na słowo honoru, taki miałem kredyt.

Podróż ze żniwiarzami podsunęła mi myśl libretta z aktualnymi przyspiewkami i tak powstało widowisko „Z krakowiankiem do Wrocławia”.

No, a potem to już się zaczęło jedno za drugim, „Cyrulik” z Ewą Bandrowską-Turską, „Rigoletto”, które obwoziliśmy aż do Jeleniej Góry, „Verbum nobile” — rekord, 21 przedstawień — objechałem z nim Wałbrzych, Jelenią Górę, Świdnicę, gdzie jeszcze wtedy żaden teatr polski nie docierał. Sukces propagandowy niesłychany. Publiczność szalała, ale 80 ludzi zespołu, wyżywił taką gromadę, napoił i przetransportował... Wysyłałem depesze do Wojewody: „Triumf całkowity, ale przyslijcie pieniędzy!” Kapnęli i udało się jakoś połączyć.

Opera, Opera, łatwo powiedzieć, ale jak tu ludzi ściągnąć, jak ich zachęcić. Lowilem każdego, kto się nawinął. Pytali: „A dostaniemy mieszkanie? Czy będą meble? Ile dyrektor płaci? Co z wyżywieniem? Obiecałem im wszystko, przysięgałem, dwoiłem się, troiłem, uwierzyli w końcu. Wiedziałem, że jak przyjdą na próby, staną na scenie, usłyszą szum tego ula za

kurtyną, to nie potrafią już stąd odejść. Przebidują ten ciężki okres, bo teatr urzeka!

(Zauważyliśmy na twarzach tzech aktorów, którzy rozmawiali szeptem z sekretarką, wyraźne zaniepokojenie. Umilkli. Przyglądają się dyrektorowi nieufnie. Ten spostrzegłszy to, podnosi głos, oliwiając go optymizmem i uśmiechem).

— No, teraz mamy już swój dom, Dom Opery, gdzie na okres przejściowy mogą artyści zamieszkać, mamy całkiem niezłą stołówkę! (wyraźne zaskoczenie przysłuchującego się grona). Dziś już mamy i fundusze... Dziś rozporządzamy 20 solistów, mamy 44 chorzystów, 56-osobową orkiestrę pod dyrekcją samego Bończy-Tomaszewskiego, 10 techników, 6 sędziów administracyjno-biurowych! (Muszę przyznać, że siły biurowe pracują bez zarzutu, gdyż zaproszenia na premierę otrzymaliśmy w terminie i zgodnie z zapowiedzią).

Podkształcamy narybek aktorski i śpiewaczy, prowadząc systematyczny kurs, studio dramatyczno-operowe.

Projektujemy wystawienie jak najszerzego wachlarza oper, od egzotyki „Madame Butterfly” przez sentymentalną

„Traviatę” po nasz tradycyjny „Straszny dwór”. (Dekoracje „Traviaty” bardzo pomysłowe, świetnie wyreżyserowane sceny zespołowe. Co do głosów solistów, pozwalam sobie zauważyć, że arie zostały zgodnie z ich możliwościami trafnie skrócone).

Publiczność jest spragniona muzyki, świadczą o tym koncerty naszej znakomitej orkiestry (Orkiestra dobra). Mamy do czterdziestu tysięcy widzów (więc co czwarty mieszkaniec Wrocławia bywa w teatrze?). Oczywiście przedstawienia są wykupywane przez Związki Zawodowe i Zjednoczenia. (Złapawszy moment przerwy, zapytują nieśmiało: — A jak się Panu dyrektorowi podoba nasza nowa demokratyczna publiczność?)

— Bardzo! Wprawdzie nie rozumieją konwencji operowej. Śmieją ich niestanny śpiew, pytają, dlaczego ci aktorzy nie potrafią mówić, ale też reakcja ich jest żywoła i bezpośrednia. To wynagradza inne braki! Wielu widzów, zwłaszcza ci ze Wschodu, jest pierwszy raz w teatrze. I to jest jedyna, na prawdę niezwykła sposobność, by wychować sobie nowego odbiorcę. Trzeba zrobić go, rozbudzając w nim smak, dając tylko arcy-

dzieła operowe, wystawiając je jak najbardziej, oddziałując na wyobraźnię!

Tu przerwał, afisz trzymał, a nam się zdawało, że jednak właśnie obok nas tętni serce tego dziwaczego przedsięwzięcia zwanego Operą Wrocławską. Gdy uściśniliśmy mu dłonie, — Jules uczynił to wytwornym ruchem młodzieńca, składającego kondolencje ciotce, — zetknęliśmy się z jednym z aktorów, który chyba podслуchiwał pod drzwiami. Miał on czarną tasiemkę (naturalnie czarna, nie pociemniała z użycia) związaną pod kołnierzykiem w fantazyjny motylek.

— No, jak tam — zapytałem go poufale, czestując papierosem.

— Z tym dyrektorem panie nie da się żyć! Po 30 razy tę samą scenę przerabia. Za poprzedniego, he panie, to było życie, ledwie zaczęliśmy próby, już chłopak leciał po wódkę i zakąski. A ten by tylko tłukł i tłukł to samo w kółko, tak jak byśmy nie byli artystami.

I tu się kryje sedno powodzenia Opery — praca i zapał, furia i praca! Toteż myśląc o dyrektorze Drabiku, wdycham jak rodowity wrocławianin:

Ta daj mu Boże zdrowie!

Sprawy teatru

„Szczęście Frania”

na Małej Scenie.

Komedia w trzech aktach Włodzimierza Perzyńskiego. Reżyseria Edwarda Żyteckiego. Dekoracje Stanisława Tenerowicza.

„Szczęście Frania” jest jeszcze jednym stopniem kariery scenicznej, jaką zrobiła w Polsce mieszczańska pospolitość i gęsta — dulszczyzna. Ale owo tytułowe „szczęście” Frania jest właściwie jego szczęściem. Jaskrawymi barwami namalowany fragment obrazu życia i miłości i sieroty-pocziwca z nieukończoną edukacją i świętofranciszkańskim sercem stanowi zasadniczo studium psychologiczne, rzucane na tło właściwej komedii obyczajowej. W samej postaci Frania nie znajdziemy elementów komicznych, jest ona tak postawiona, że nawet ludzie śmiejący się chętnie z cudzego nieszczęścia w tym wypadku nie mają właściwie tematu do śmiechu. W podobny sposób rzecz się ma z sugerowanym sensem społecznym, który mógłby się uwiarygodnić tylko w tym wypadku, jeśliby się założyło, że cała sztuka jest artystycznie chybiająca; a takie założenie jest dość trudne do uzasadnienia.

Gdzie więc i jakiej tezy należy się w tej komedii doszukiwać?

Pierwszy plan: Franio — po prostu „szczególny wypadek” rozbudowany psychologicznie, poddany dokładnej obserwacji scenicznej (w kameralnej tonacji Małej Sceny obserwujemy się akcją jak przez mikroskop), w zupełnym oderwaniu od jakiegokolwiek tezy, którą autor zwykle stara się udowodnić. Nie wydaje mi się, aby Perzyński chciał na przykładzie „bohatera” wykazać, że każdy człowiek jest panem swego losu: szczęścia i nieszczęścia. Byłoby to zbyt metafizyczne i niekonsekwentnie umotywowane.

Dalszy plan: Hela, obiekt miłości Frania, obiekt — trzeba to stwierdzić — banalny i tuzinkowy, połączony banalną i tuzinkową miłością z „czymś” nauczycielem muzyki — Wśród słów i czynów tych dwóch cośkolwiek zmienia, trudno to w komedii. Dziecko? Nie sądzę, że jest po prostu punktem zwrotnym koniecznością artystyczną.

Perzyński nie stara się wcale bronić „wolnej miłości”. Nawet Franio, usprawiedliwiający miłość Heli do Otockiego, na kwestię „naturalnego dziecka” zapatruje się tak samo jak i Lipowscy.

Wreszcie tło obyczajowe, najbardziej zwietrzałe wskutek działania czasu ale autentyczne — dom straszliwie mieszczański, jego mieszkańcy i goście. Lipowscy są właściwymi sprawcami komedii. I tu bodajże, nieśmiało zarysowuje się nie tyle teza ile stosunek autora do zagadnień związanych z fabułą, w której Perzyński niewątpliwie wymiśla, a tym samym potępia mieszczaństwo, potępia je socjalnie, moralnie, obyczajowo.

Jeśli czego sztuce brak, to właśnie tego darmo poszukiwanego problemu, natomiast ofiarował jej Perzyński swój talent.

Edward Żytecki przygotował spektakl umiejętnie, powiedziałbym zademonstrował nie błyskotliwą ale solidną robotę reżyserką.

Rolę Frania konsekwentnie opracował i zagrał na prawdziwym przeżyciu wewnętrznym Tadeusz Łomnicki. Szczery talent, jakich mało, uwidocznił się zwłaszcza w przejmującej scenie buntu (III akt) potraktowanej jednak zbyt wyczerpująco, co dało o sobie znać w końcowej scenie walki wewnętrznej i rezygnacji — skutkiem zmęczenia już mniej sugestywnej. Jan Gutner, a zwłaszcza świętna Helena Rozwadowska, jako państwo Lipowscy wiernie oddali komedijny charakter sztuki. Hela Antoniny Góreckiej, dość niewyraźna w I akcie, w dalszych czuła się już swobodnie i naturalnie.

Role Otockiego, Langmanowej i Mroczyskiej, w interpretacji Igora Śmiałowskiego, Magdaleny Radłowskiej i Stefanii Michnowskiej zostały potraktowane w sposób pocztówkowy — konwencjonalny, ale trafnie uzupełniały obyczajowy rysunek sztuki. Może tylko mimika twarzy p. Śmiałowskiego wymagałaby pewnej korektury i opanowania.

Stanisław Tenerowicz w projekcie wnętrza uwzględnił szczytowość Małej Sceny, i jakkolwiek nie widziałem w Warszawie tak małego salonu, potrafił zmieścić w nim moc charakterystycznych drobiazgów, stanowiących realia komedii i równocześnie zostawić jeszcze trochę miejsca dla aktorów.

Całość na poziomie wymaganym przeciętnie od dobrego teatru.

Bogdan Butryńczuk.

Kronika kulturalna Pomorza Zachodniego

TEATR

Najważniejszym wydarzeniem w tej dziedzinie jest uroczyste otwarcie zawodowego teatru w Słupsku. Dzięki temu Pomorze Zachodnie otrzymuje już drugi zawodowy teatr w tym roku. Należy przy tym zaznaczyć, że Teatr Miejski w Słupsku, pozostający pod dyr. Jurdzińskiej Lekadzi, posiada dobry zespół zawodowych aktorów przede wszystkim zaś świetnego reżysera Bronisława Skąpskiego. Teatr słupski posiada doskonale rozplanowany teatralnie bydynek wraz z widownią, obliczoną na 1.000 osób oraz wszelkie nowoczesne urządzenia teatralne. Działalność tego teatru nie ograniczy się tylko do Słupska, lecz rozplanowana jest na szerszą skalę, mianowicie obejmie swym zasięgiem Koszalin, Bytów, Sławno, Miasto i Białogard, czyli większą część wschodnich polaci województwa szczecińskiego.

Na inauguracyjne przedstawienie dał Teatr Miejski w Słupsku doskonałą komedię A. Fredry „Damy i huzary” w reżyserii Br. Skąpskiego, który jednocześnie odtworzył postać Rotmistrza. Z zespołu wyróżnili się oprócz Br. Skąpskiego — p. Gwido-Rakowski jako Major i p. Marecki Stan. jako Kapelan, z pań Krystyna Radwańska w roli Zosi i p. Jurdzińska jako Amelia.

Z okazji inauguracji przesłali telegramy gratulacyjne: Osterwa, Trzcinański, Chaberski, Karbowski i Bracki.

Należy jeszcze i to podkreślić, że Teatr słupski daje co 10 dni premierę. Po „Damach i huzarach” idzie już „Znajda” (Ich dwóch) Niewiarowicza, w przygotowaniu zaś jest „Ich czworo” Zapolskiej.

Porównując pracę dwóch teatrów Pomorza Zachodniego — w Szczecinie i w Słupsku — dochodzimy mimo woli do pewnego paradoksu. Teatr słupski rozwija bowiem bardziej ożywioną i na dalszą metę rozplanowaną akcją teatralną aniżeli teatr „Komedia muzyczna” w Szczecinie. Podczas gdy w Słupsku gra się co dziesięć dni nową sztuką, „Komedia Muzyczna” dała w ciągu 2 i pół miesiący zaledwie dwie premiery („Przeprowadzka” i „Rozkoszna dziewczyna”). Jest to tym przykrejsze, że teatr szczeciński, w przeciwieństwie do teatru słupskiego, świeci pustkami zniechęcając i tak niezbyt przychylną do „Komedii Muzycznej” nastawioną publiczność. Niedołęstwo „Komedii Muzycznej” objawia się także i w tym, że jako teatr zawodowy gra sztuki z lekkiego repertuaru (Rozkoszna dziewczyna, Gałganek), natomiast amatorskim teatrem, np. Teatrowi STO zostawia repertuar klasyczny! Amatorzy grają więc „Przepióreczkę” Żeromskiego, natomiast zawodowcy zabawiają się odstawianiem kawałów w rodzaju „Rozkosznej dziewczyny”. A przecież dyr. Czosnowski opowiadał nam przed inauguracją swego teatru cuda o repertuarze. Nazwa „Komedia Muzyczna” niechaj nikogo nie myli! Wybrano ją tylko po to, aby się odróżnić od dawnego „Teatru Polskiego”, który objęto po p. Skąpskim. Krótko mówiąc w teatrze szczecińskim p. Czosnowskiego panuje komedia, tylko nie muzyczna. (ts)

LITERATURA

Klub Literacko-Artystyczny w Szczecinie rozwinął po okresie letnim ożywioną działalność. Urządzony w październiku br. „Turniej recytatorski” z udziałem zawodowych recytatorek i recytatorów zgromadził dużą ilość publiczności. Organizatorom wieczoru chodziło nie tylko o to, aby

zaprezentować wysoki kunszt recytatorski i piękno poezji polskiej, ale także o to, aby uwydatnić w recytacjach czynnik morski i zapoznać w ten sposób publiczność szczecińską z tematyką marynistyczną. Referat na temat „Morze w poezji polskiej” wygłosił dr. Stanisław Telega, po czym nastąpiły recytacje. Następnie publiczność drogą losowania przyznała dwa pierwsze miejsca p. Karczewskiemu i p. Śliwińskiemu, którzy uzyskali jednakową ilość głosów. Nagroda za najlepszą recytację wyniosła 2.000 zł, wobec powyższego nagrodę przepołowiono.

W listopadzie br. Klub urządził dwa wieczory. W pierwszej imprezie pt. „Walczy my o książkę” p. Siadkowski przedstawił tragedię książki polskiej w ogóle (1-na książka przypada na 23 obywateli!), a Biblioteki Miejskiej w szczególności. W drugim wieczorze wojewoda Borkowicz wygłosił odczyt pt. „Nowe drogi — nowe idee”. Obie imprezy były urozmaicone częścią artystyczną. Zainteresowanie zwłaszcza drugim wieczorem, bardzo duże. Na tym miejscu należy też wspomnieć o imprezie, która wywołała wielkie echo w całej Polsce, mianowicie o „Sądzie nad Przeprowadzką”, urządzonym przez PPR. Był to niezwykle ciekawy wieczór dyskusyjny, urządzony w formie sądu, z trybunałem, oskarżycielami i obrońcami włącznie. Popołniono jednak zarówno ze strony organizatorów, jak i oskarżycieli i obrońców, dużo błędów, które wymagałyby osobnego omówienia. Niemniej jednak imprezę tę należy uważać za udaną, gdyż obudziła wielkie zainteresowanie zarówno sztuką Roztworowskiego jak i w ogóle teatrem.

I jeszcze jeden radosny fakt z odcinka literackiego. W Szczecinie osiedlił się młody, utalentowany pisarz Jan Papuga, autor „Szczerów morskich”, członek Zw. Zaw. Literatów w Łodzi oraz M. Boniecka z Gdyni. Pisarze ci znaleźli z miejsca nie tylko mieszkanie, za którym np. p. Papuga rozbijał się bezskutecznie po całej dosło-

wnie Polsce, ale także życzliwe przyjęcie ze strony czynników kulturalnych naszego miasta. Może ten fakt zachęci innych pisarzy do osiedlania się w Szczecinie?

PLASTYKA

Związek Zawodowy Plastyków w Szczecinie urządził w pierwszych dniach grudnia br. zbiorową wystawę plastyków szczecińskich. (ts)

MUZYKA

W październiku odbyło się w Szczecinie kilka imprez muzycznych z których najciekawszym był koncert solistów z Poznania: Konatkowskiej G. (fortepian), Jahnke Zdz. (skrzypce) i Danczowskiego D. (wiołonczeła). Odegrano m. in. utwory Szymanowskiego, Różyckiego, Chopina, Wieniawskiego. Wydział Kultury i Sztuki w porozumieniu z Kuratorium powtórzył tę imprezę dla młodzieży szkolnej w ramach lekcji szkolnych.

Zawodowy Zw. Muzyków w Szczecinie postanowił urządzić bezpłatne koncerty popularne dla pracowników w niektórych fabrykach szczecińskich.

W Słupsku wystąpił Radziecki Teatr Muzyczny, który odegrał operetkę „Rose Marie”. W Białogardzie, Złotowie i Starogardzie odbyło się również kilka wieczorów muzycznych i wokalnych, przeważnie przejezdnych artystów. (ts)

MUZEA

Centralna Składnica Zabytków w Szczecinie powiększa się z dnia na dzień. Składnica gromadzi zabytki zarówno z terenu Szczecina jak i całego województwa, w związku z projektowaną wielką wystawą, mającą dać obraz pamiętek słowiańskich na Pomorzu Zachodnim. Inwentarz Składnicy zawiera już 1100 pozycji. Przeprowadzono również zabezpieczenie znanego posągu Mojżesza w pałacyku w Canowie, który to pomnik ma być przewieziony do Warszawy, jak również posąg Colleoniego w Szczecinie. (ts)

Tydzień Katowic

28. XI. — 4. XII. 46 r.

ŻYCIE LITERACKIE

- XII. odbył się X-ty wieczór Klubu Literackiego. W ramach wieczoru prelekcję pt.: „Polska wobec nowych zagadnień kulturalnych” wygłosił Wojciech Kętrzyński. Po odczycie toczyła się ożywiona dyskusja na tematy poruszone przez prelegenta. Głos zabierali dr. Lutman, A. Wiedera, Z. Hierowski i in.
- XII. Sąd konkursowy nagrody literackiej m. Katowic przyznał tegoroczną nagrodę Wilhelmowi Szewczykowi za tom poezji pt. „Posągi”.

ŻYCIE MUZYCZNE

- XI. odbył się koncert symfoniczny orkiestry Państwowej Filharmonii z udziałem laureatki konkursu genewskiego Wandy Wiłkomirskiej (skrzypce). Orkiestra pod batutą Zbigniewa Dymka wykonała rządko grywaną Symfonię nr 1 op. 38 b-dur R. Schumanna, oraz J. Brahmsa — wariacje op. 56 na temat Haydna. Solistka koncertu Wanda Wiłkomirska wykonała z towarzyszeniem orkiestry 2-gi koncert

skrzypcowy d-moll Henryka Wieniawskiego.

TEATR

- XI. Państwowy Teatr Śląski wystawił komedię w 4 aktach Józefa Bliźnińskiego pt. „Rozbitki” z udziałem Jerzego Leszczyńskiego w roli Jana Strasza. Reżyserował spektakl Janusz Warnecki. Dekoracje opracował Wiesław Makojnik.

INE IMPREZY

- XI. nastąpiło otwarcie teatru dziecięcego. Pierwszy spektakl, na który wybrano sztukę Marii Gerson-Dąbrowskiej pt. „Laleczka z saskiej porcelany”, odbył się w sali teatru TUR. Zasięg w stworzeniu tej nowej, potrzebnej i pożytecznej placówki oraz w dobrym przygotowaniu spektakli inauguracyjnych przypisać należy kierownicze zespołu dziecięcego Tymienieckiej i kierownikowi TUR Fularskiemu.
- XII. w Teatrze Śląskim urządzono poranek pod hasłem „Śląsk Warszawa”. W poranku udział wzięła m. in. orkiestra symfoniczna Polskiego Radia i Barbara Sawicka (śpiew).

